

**BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 15.**

---

**HENRYK SIENKIEWICZ**

# **BARTEK ZWYCIĘZCA**

**NOWELA**

**WYDANIE NOWE**

**NAKLAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW**



**NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA**

1. **Konopnicka Marya.** Dym.
2. — Banasiowa.
3. — Nasza szkapa.
4. — Niemczaki.
5. **Żeromski Stefan.** Siłaczka. — Na pokładzie.
6. **Prus Bolesław.** Antek.
7. — Na wakacjach. — Katarynka.
8. **Orzeszkowa Eliza.** Siteczko. — Czy pamiętasz?
9. — Babunia.
10. — Ogniwa.
11. — Panna Antonina.
12. — A... B... C...
13. **Sienkiewicz Henryk.** Janko muzykant. — Latarnik.
14. — Wspomnienie z Maripozy. — Jamioł. — Organista z Ponikły.
15. — Bartek Zwycięzca.
16. **Gallo Henryk.** Czytanki polskie I.
17. — Czytanki polskie II.
18. **Reymont Władysław.** Wiosna.
19. — W porębie. — Przy robocie.
20. — Tomek Baran.
21. — Pewnego dnia.
22. **Junosza Klemens.** Froim. — Zając.
23. **Kraszewski J. I.** Łokietek na łożu śmierci. — Tatarzy na weselu.
24. **Kraszewski J. I.** Upiór.
25. — Z dziennika starego dziada.
26. — Profesor Milczek. — Rejent Wątróbka.
27. — W oknie. — Nauczyciele sieroty.
28. **Rzewuski H.** Kazanie konfederackie. — Książd Marek.
29. — Tadeusz Reytan (z Pam. Soplicy)
30. — Sawa. Pan Borowski (z Pam. Soplicy).
31. **Sienkiewicz H.** Pieszo przez Czarny Łąd (Listy z Afryki) I
32. — Pieszo przez Czarny Łąd (Listy z Afryki) II.
33. — Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży).
34. — Z puszczy amerykańskiej.
35. **Prus B.** Kamizelka. — Michałko.
36. **Dygasiński A.** W puszczy.
37. — Wilk, psy i ludzie.
38. **Junosza Klemens.** Wilki. — Wesolego.
39. **Tetmajer K.** Książd Piotr.
40. **Gomulicki W.** Chałat.
41. **Żeromski St.** Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy.
42. **Skarbek F.** Łukasz Stempel.
43. — Mundur. — Jaszczuft.
44. — Dwie siostry. — Przewoźnik.
45. **Wilkoński A.** Moja mówka pogrzebowa. — Przypadek.
46. — Gorzkie wspomnienia słodkiej nadziei.
47. — Wspomnienia szkolne. — Pomyłka. — Ułamek.
48. **Żmichowska N.** Prządki. — Ze wspomnień dziecinnego wieku.

HENRYK SIENKIEWICZ

# BARTEK ZWYCIĘZCA

NOWELA

WYDANIE NOWE

NAKLAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
 WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ  
 KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

## L

Bohater mój nazywał się Bartek Słowik, ale ponieważ miał zwyczaj wytrzeszczać oczy, gdy do niego mówiono, przeto sąsiedzi nazywali go: Bartek Wylupiasty. Ze słowikiem istotnie mało miał wspólnego, natomiast jego przymioty umysłowe i prawdziwie homeryczna<sup>1)</sup> naiwność<sup>2)</sup> zjednały mu także przezwisko: Głupi Bartek. To ostatnie było najpopularniejsze<sup>3)</sup> i zapewne samo jedno tylko przejdzie do historii, chociaż Bartek nosił jeszcze czwarte, urzędowe. Ponieważ wyrazy: człowiek i słowik nie przedstawiają dla ucha niemieckiego żadnej różnicy, a Niemcy lubią w imię cywilizacyi przekładać barbarzyńskie słowiańskie nazwy na bardziej kulturalny<sup>4)</sup> język, przeto w swoim czasie przy spisach wojskowych odbyła się następująca rozmowa:

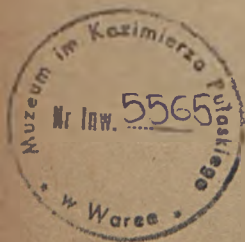
— Jak się nazywasz? — pytał Bartka oficer.

1) *Homeryczny* tu: niezwykły.

2) *Naiwność* głupota, nierozgarnienie.

3) *Popularny* — tu: najwięcej znany.

4) *Kulturalny* ucywilizowany.





— Słowfk.

— Szloik?... Ach! ja. Gut.<sup>1)</sup>

I oficer napisał: »Mensch«<sup>2)</sup>).

Bartek pochodził ze wsi Pognębina, której to nazwy wsi jest bardzo wiele w Księstwie Poznańskim i innych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Był on, nie licząc gruntu, chałupy i pary krów, właścicielem srokatego<sup>3)</sup> konia i żony Magdy. Dzięki takiemu zbiegowi okoliczności mógł sobie żyć spokojnie i zgodnie z mądrością, zawartą w wierszu:

»Koń srokacz — żona Magda,  
Co ma Bóg dać — to i tak dać.

Jakoż życie jego układało się zupełnie, jak Bóg dał, i dopiero, gdy Bóg dał wojnę, Bartek zafrasował się niepomału. Przyszło zawiadomienie, że trzeba się było stawić, trzeba było porzucić chałupę, grunt i zdać wszystko na babską opiekę. Ludzie w Pognębiniu byli wogóle dosyć biedni. Bartek zimą, bywało, chodził do fabryki i tem sobie w gospodarstwie pomagał — teraz zaś co? Kto wie, kiedy się wojna z Francuzem skończy? Magda, gdy przeczytała kartkę powołującą, poczęła kłać:

— Ażeby ich nawidziło! żeby olśnęli... Chciażes głupi... jednak mi cię żal; Francuzy też ci nie przepuszczą: głowę utną, albo col...

Czuł Bartek, że kobieta sprawiedliwie mówi. Francuzów bał się, jak ognia, a przytem i niemu

<sup>1)</sup> Ach! tak. Dobrze (niem.).

<sup>2)</sup> Mensch — człowiek (niem.).

<sup>3)</sup> Srokaty — w plamy i centki..

było żal. Co jemu Francuzi zrobili? po co on tam pójdzie i dlaczego? — na tę straszną obczyznę, gdzie niema jednej duszy życzliwej? Jak się w Pognębiniu siedzi, to zdaje się, ot, ni tak ni owak, jak zwyczajnie w Pognębiniu; a jak każą iść, dopiero się widzi, że wszelako tu lepiej, niż gdzieindziej. Ale już nic nie pomoże — taka dola, trzeba iść. Bartek uściskał babę, potem dziesięcioletniego Franka, potem splunął, przeżegnał się i wyszedł z chałupy, a Magda za nim. Nie żegnali się zbyt czule. Ona i chłopak szlochali, on powtarzał: »No, cicho, no!« — i tak znaleźli się na drodze. Tu dopiero ujrzeli, że w całym Pognębiniu działo się to samo, co u nich. Cała wieś wyległa: droga zapchana powołanymi. Idą oni do stacyi kolejowej, a baby, dzieci, starcy i psy odprowadzają ich. Powołanym ciężko na sercu; kilku tylko młodszym fajki wiszą z gęby; kilku już pijanych na początek; kilku śpiewa ochryplymi głosami:

»Skrzyneckiego ręce i złote pierścieńce  
Już nie będą wymachiwać siabłą na wojence«.

Jeden też i drugi Niemiec z pognębińskich kolonistów śpiewa ze strachu *Wacht am Rhein*<sup>1)</sup>. Cały ów tłum pstry i różnobarwny, wśród którego połyskują bagnety żandarmskie, posuwa się opłotkami<sup>2)</sup> ku końcowi wsi z krzykiem, gwarem i rwetesem. Baby trzymają swoich »żołnierzyków« za kark i lamentują; jakaś staruszka pokazuje żółty

<sup>1)</sup> Niemiecka pieśń narodowa.

<sup>2)</sup> Opłotki — droga między płotami.

zab i wygraża pięścią gdzieś w przestrzeń. Inna klnie: »Niech wam Pan Bóg policzy nasze płakanie! słyhać wołania: »Frankul Kaško! Józek! bądźta zdrowi«. Psy szczekają. Dzwon na kościele dzwoni. Proboszcz sam odmawia modlitwy za konających, boć przecie niejedyn z tych, co teraz idą na stacyę, nie wróci. Wojna ich bierze wszystkich, ale wojna ich nie odda. Pługi pordzewieją na polach, bo Pognębin wypowiedział wojnę Francyi. Pognębin nie mógł zgodzić się na przewagę Napoleona III i wziął do serca sprawę o tron hiszpański<sup>1)</sup>. Odgłos dzwonu przeprowadza tłumy, które już wyszły z opłotków. Mijają figurę: czapki i pikielhauby<sup>2)</sup> lecą z głów. Kurz złoty wstaje na drodze, bo dzień jest suchy i pogodny. Po dwóch stronach drogi zboże dojrzewające szeleści ciężkim kłosem i gnie się pod wietrzykiem, który od czasu do czasu dmucha łagodnie. W niebie błękitnem tkwią skowronki i każdy świergoce, jakby się zapamiętał.

Stacyal... Tłumy jeszcze większe. Są tu już powołani z Krzywdy Górnej, Krzywdy Dolnej, z Wywłaszczyniec, z Niedoli, Mizerowa. Ruch, gwar i zamieszanie! Ściany na stacyi oblepione manifestami. Wojna tu »w imię Boga i Ojczyzny«, Landwera<sup>3)</sup> pójdzie bronić swych zagrożonych rodzin, żon i dzieci, chat i pól. Francuzi widocznie szczególnież zawzięli się na Pognębin, na Krzywdę

<sup>1)</sup> Sprawa o sukcesyę tronu hiszpańskiego była powodem wojny francusko-pruskiej 1870-1871 r.

<sup>2)</sup> *Pikelhauba* — pruski kask żołnierski.

<sup>3)</sup> *Landwera* — polpolite ruszenie.

Górną, na Krzywdę Dolną, na Wywłaszczyńce, Niedolę, Mizerów. Tak przynajmniej wydaje się tym, którzy czytają afisze. Przed stacyę przybywają coraz nowe tłumy. W sali dym z fajek napełnia powietrze i przesłania afisze. W gwarze trudno się zrozumieć: wszyscy chodzą, wołają, krzyczą. Na peronie<sup>1)</sup> słyhać komendę niemiecką, której gwałtowne słowa brzmią krótko, twardo, stanowczo.

Rozlega się dzwonek... świst! zdala słyhać gwałtowny oddech lokomotywy. Coraz bliżej, wyraźniej. To wojna zdaje się przybliżać.

Drugi dzwonek! Dreszcz przebiega wszystkie piersi. Jakaś kobieta poczyna krzyczeć: »Jadom! Jadom!« Woła ona widocznie swego Adama, ale kobiety podchwytują wyraz i wołają: »Jada!« Głos jakiś przeraźliwy nad inne dodaje: »Francuzi jadą!« — i przez jedno mgnienie oka panika<sup>2)</sup> ogarnia nietylko kobiety, ale i przyszłych bohaterów Sedanu<sup>3)</sup>. Tłum zakolysał się. Tymczasem pociąg staje przed stacyą. We wszystkich oknach widać czapki z czerwonymi lampasami i mundury. Wojska widocznie jak mrowia. Na węglarkach<sup>4)</sup> czerwień posępne, podługowate ciała armat; nad otwartymi wozami jeży się las bagnatów. Widocznie kazano żołnierzom śpiewać, bo cały pociąg aż dygoce od silnych głosów męskich. Jakaś siła i po-

<sup>1)</sup> *Peron* — miejsce przed dworcem, gdzie stają pociągi.

<sup>2)</sup> *Panika* — trwoga powszechna.

<sup>3)</sup> Miasto we Francyi, gdzie Napoleon III poddał się Prusakom.

<sup>4)</sup> *Węglarka* — wagon do przewożenia węgla.



tego bije od tego pociągu, którego końca nie dojrzeć.

Na peronie poczynają formować<sup>1)</sup> rekrutów; kto może, żegna się jeszcze. Bartek machnął łapami, jakby skrzydłami wiatraka, oczy wytrzeszczył.

- No, Magdal bywaj zdrowal
  - Oj! moje biedne chłopisko!
  - Już mnie nie obaczysz więcej!
  - Już cię nie obaczą więcej!
  - Niema rady nijakiej!
  - Niechże cię Matka Boska strzeże i chroni...
  - Bądź zdrowa; chałupy pilnuj.
- Kobieta uchwyciła go za szyję z płaczem.
- Niechże cię Bóg prowadzi.

Nadchodzi ostatnia chwila. Pisk, płacz i lament kobiet zagłusza wszystko: »Bądźta zdrowil Bądźta zdrowil« Ale owoż żołnierze są już oddzieleni od bezładnego tłumu: już tworzą czarną zbitą masę, która zwiera się w kwadraty, prostokąty i poczyną poruszać się z tą sprawnością i regularnością ruchów maszyny. Komenda: »Siadać!« Kwadraty i prostokąty przełamują się w środku, wyciągają się wązkimi pasami ku wagonom i giną w ich wnętrzu. W dali lokomotywa świszcze i rzuca kłęby siwego dymu. Teraz oddycha, jak smok, zionąc pod siebie strumienie pary. Lament kobiet dochodzi do najwyższego stopnia. Jedne zasłaniają oczy fartuchami, inne wyciągają ręce ku wagonom. Lkające głosy powtarzają imiona mężów i synów.

— Bądź zdrow, Bartek! — woła z dołu Ma-

<sup>1)</sup> Formować -- ustawiać w szeregi.

gda. — A nie leż tam, gdzie cię nie posłał! Niech cię Matka Boska... Bądź zdrow! O dla Bogal

— A chałupy pilnuj! — odzywa się Bartek.

Korowód wagonów drgnął nagle; wozy stuknęły jedne o drugie i ruszyły.

— A pamiętaj, że masz żonę i dziecko! — wołała Magda, drepzcząc za pociągiem. — Bądź zdrow, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Bądź zdrowy...

Pociąg poruszał się coraz prędzej, wioząc wojowników z Pogńębina, z obydwóch Krzywd, z Niedoli i Mizerowa.

---

## II.

W jedną stronę wraca ku Pogńebinowi Magda z tłumem bab i płacze, w drugą stronę świata rwie w siwą dal pociąg, najeżony bagnietami, a w nim Bartek. Siwej dali końca nie widać. Pogńębina też ledwo dojrzeć. Lipa tylko szarzeje i wieża na kościele się złości, bo po niej słońce igra. Wkrótce i lipa rozplynęła się, a złoty krzyż wyglądał tylko jak punkt błyszczący. Dopóki ten punkt świecił, patrzył na niego Bartek, ale gdy i on zniknął, frasunkowi chłopu nie było miary. Zdjęła go niemoc wielka, i czuł, że przepadł. Zaczął tedy patrzeć na podoficera, bo już prócz Boga nikogo więcej nie było nad nim. Co się teraz z nim stanie, to już w tem głowa kaprala; sam Bartek już nic nie wie, nic nie rozumie. Kapral siedzi na

ławce i, trzymając karabin między kolanami, pali fajkę. Dym co chwila, jakby chmura, zasłania mu twarz poważną i markotną. Nietylko Bartkowe oczy patrzą na tę twarz: patrzą na nią wszystkie oczy ze wszystkich kątów wagonu. W Pognębiniu lub Krzywdzie każdy Bartek lub Wojtek jest sobie pan, każdy musi myśleć o sobie, za siebie, ale teraz od tego kapral. Każe im się patrzeć na prawo, będą patrzeć na prawo, każe na lewo, to na lewo. Każdy pyta się wzrokiem: »No? a co z nami będzie?« — on sam zaś tyle wie, ile i oni, i radby także, aby kto starszy dał mu pod tym względem jakie rozkazy lub objaśnienia. Zresztą chłopci boją się pytać wyraźnie, bo teraz jest wojna z całym aparatem sądów wojennych. Co wolno, a czego nie wolno, nie wiadomo. Przynajmniej oni nie wiedzą, a straszy ich dźwięk wyrazów takich, jak *Kriegsgericht*<sup>1)</sup>, których dobrze nie rozumieją, ale tembardziej się boją.

Jednocześnie czują, że ten kapral potrzebniejszy im jeszcze teraz, niż na manewrach pod Poznaniem, bo on jeden wie wszystko, on za nich myśli, a bez niego ani rusz. Tymczasem zaciężył mu widocznie karabin, bo go rzucił Bartkowi do trzymania. Bartek porwał skwapliwie za broń, dech wstrzymał, oczy wylupił i patrzy w kaprala, jak w tęczę, ale mała mu i z tego pociecha.

Oj, coś źle słyhać, bo i kapral jak z krzyża zdjęty. Na stacyach śpiewy i krzyki; kapral komenderuje, kręci się, łaje, żeby to starszym się

<sup>1)</sup> Sąd wojenny (niem.)

pokazać, ale niechno pociąg ruszy, cichną wszyscy, i on cichnie. Dla niego także świat ma teraz dwie strony: jedna jasna i zrozumiała: to jego izba, żona i pierzyna; druga ciemna, ale to zupełnie ciemna: to Francya i wojna. Zapał jego, jak i zapał całej armii, chętnieby zapożyczył chodu od raka. Wojowników pognębińskich ożywiał duch tem widoczniejszy, że siedzący nie w żołnierzach, ale każdemu na ramieniu. A ponieważ każdy żołnierz dźwigał na ramionach tornister, płaszcz i inne wojskowe przybory, więc wszystkim było nader ciężko.

Tymczasem pociąg fukał, huczał i leciał w dal. Co stacya przyczepiano nowe wagony i lokomotywy. Co stacya widać było tylko pikielhauby, armaty, konie, bagnety piechurów i chorągiewki ułanów. Zapadał zwolna pogodny wieczór. Słońce rozlało się w wielką czerwoną zorzę, wysoko na niebie unosiły się stada drobnych lekkich obłoków, o brzegach poczerniałych od zachodu. Pociąg wreszcie przestał brać ludzi i wagony na stacyach, trząsał się tylko i leciał naprzód w ową jasność czerwoną, jakby w morze krwi. Z otwartego wagonu, w którym siedział Bartek z pognębińskimi ludźmi, widać było wsie, siola i miasteczka, wieżyczki na kościołach, bociany poprzeżginane jak haki, stojące jedną nogą na gniazdach, chałupy osobne, sady wiśniowe. Wszystko to migotało przelotem, a wszystko czerwone. Żołnierze poczęli szeptać między sobą tem śmieiej, że podoficer, podłożywszy sakwy pod głowę, zasnął z porcelanową fajką w zębach. Wojciech Gwizdała, chłop z Pognębina, siedzący wedle Bartka, trącił go łokciem:



— Bartek, słuchaj-no!

Bartek zwrócił ku niemu twarz z zamyślo-  
nemi, wylupiastemi oczyma.

— Czegóż patrzysz jak ciele, co idzie na  
rzeż?... — szeptał Gwizdała. — Ale ty, niebożę,  
idziesz na rzeż, i pewnikiem...

— Oj, oj! — jęknął Bartek.

— Boisz się? — pytał Gwizdała.

— Co się nie mam bać?...

Zorza stała się jeszcze czerwiejsza, więc Gwiz-  
dała wyciągnął ku niej rękę i szeptał dalej:

— Widzisz tę jasność? Wiesz, głupi, co to  
jest? To krew. Tu jest Polska, niby nasz kraj: ro-  
zumiesz? A hen tam daleko, gdzie się tak świeci,  
to właśnie Francya...

— A prędko zajedziewa?

— Albo ci pilno? Mówią, że okrutnie daleko.  
Ale nie bój się: Francuzi wyjdą naprzeciw...

Bartek zaczął pracować ciężko swoją pogne-  
bińską głową. Po chwili spytał:

— Wojtek?

— Czego?

— A na ten przykład, co to za naród te Fran-  
cuzy?

Tu uczoność Wojtka ujrzała nagle przed sobą  
dół, w który łatwiej jej było wlecieć z głową, niż  
wylecieć napowrót. Wiedział, że Francuzi to są  
Francuzi. Słyszał coś o nich od starszych ludzi,  
którzy mówili o nich, że zawsze wszystkich bili;  
nakoniec wiedział, że to jacyś bardzo obcy ludzie.  
Ale jak to wytłumaczyć Bartkowi, aby i on wie-  
dział, jak dalece obcy?

Przedewszystkiem tedy powtórzył pytanie:

— Co to za naród?

— A juści.

Trzy narody były znane Wojtkowi: w środku  
»Polaki«, z jednej strony »Moskale«, a z drugiej  
»Niemcy«. Ale Niemców były różne gatunki. Chcąc  
więc być jasnym więcej niż ścisłym, rzekł:

— Co to za naród Francuzy? Jak ci powie-  
dzieć: musi także Niemcy, tylko jeszcze gorsze...

A Bartek na to:

— O, ścierwał

Do tej pory żywił względem Francuzów  
jedno tylko uczucie, to jest uczucie nieopisanego  
strachu. Teraz dopiero poczuł ku nim ten pruski  
landwerzysta<sup>1)</sup> wyraźniejszą patryotyczną niechęć.  
Jednakże nie wszystko jeszcze rozumiał należycie  
i dlatego spytał znowu:

— To Niemcy będą z Niemcami wojować?

Tu Wojtek, jak drugi Sokrates<sup>2)</sup>, postanowił  
pójść drogą porównań i odparł:

— Albo to się twój Łysek z moim Burkiem  
nie gryzą?

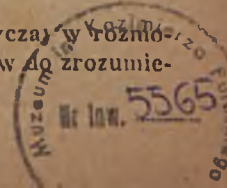
Bartek otworzył usta i popatrzał chwilę na  
swego mistrza.

— O, prawda...

— Przecie i Austryaki Niemcy — prawil Woj-

<sup>1)</sup> Landwerzysta — żołnierz, zaliczony do pospolitego  
ruszenia.

<sup>2)</sup> Sokrates — filozof grecki, miał zwyczaj w różno-  
wach pytaniach doprowadzać swych uczniów do zrozumie-  
nia rzeczy.





tek — a czy się nasi z nimi nie bili? Toć stary Świerszcz opowiadał, że jak był na onej wojnie, to Szejnec krzyczał na nich: »Dalej chłopcy na Niemców!« Tylko że z Francuzami nie tak łatwo!

— O la Bogal

— Francuzy nigdy żadnej wojny nie przegrały. Taki jak się do ciebie przyczepi, to się nie wykpisz, nie bój się! Każdy jest chłop, jak dwa albo trzy razy nasz, a brody to ci mają, jak Żydy. Inszy też jest czarny, jak dyabeł. Takiego jak zobaczysz, to poleć się Bogul

— No, to po co my do nich pójdziemy? — pyta zdesperowany Bartek.

Filozoficzna ta uwaga nie była może tak głupią, jak zdawało się Wojtkowi, który widocznie pod wpływem urzędowych natchnień, pośpieszył z odpowiedzią:

— Jabym też wolał nie iść. Ale nie pójdziemy my, to przyjdą oni. Niema rady. Czytałeś, co stało drukowane. Dycht<sup>1)</sup> najgorzej zawzięte na naszych chłopów. Ludzie gadają, że ony dlatego takie łakome na tutejsze grunta, bo chcieli wódkę przemycać z Królestwa, a rząd nie daje, i z tego jest wojna: no, rozumiesz?

— Co nie mam rozumieć — rzekł z rezygnacją Bartek.

Wojtek mówił dalej:

- Na baby ci też łakome, jak pies na sperkę...

<sup>1)</sup> Dycht tu: właśnie.

— A toby na ten przykład i Magdzie nie przepuścili?

— Ony i starym nie przepuszczają!

— O! — krzyknął Bartek takim tonem, jakby chciał powiedzieć: »Jeżeli tak, to będę walił!«

Jakoż wydało mu się, że tego już nadto. Wódkę niechby jeszcze sobie z Królestwa przemycali, ale do Magdy im zasiel! Teraz mój Bartek jął na całą tę wojnę patrzeć ze stanowiska własnego interesu i poczuł jakąś otuchę na myśl, że tyle wojska i armat występuje w obronie zagrożonej przez bałamuctwo francuskie Magdy. Pięści mu się zacisnęły mimowolnie, i strach przed Francuzami pomieszał się w jego umyśle z nienawiścią do nich. Przyszedł do przekonania, iż niema już chyba rady, że trzeba iść. Tymczasem jasność niebieska zgasła. Ściemniło się. Wagon na nierównych szynach począł się kołysać mocno, a w takt z jego ruchami kiwały się na prawo i lewo pikielhauby i bagnety.

Upłynęła jedna godzina i druga. Z lokomotywy sypały się miliony iskier, które, jak długie złociste kresy i wężyki, krzyżowały się z sobą w ciemnościach. Bartek długo nie mógł zasnąć. Jako owe iskry po powietrzu, tak w głowie jego skakały myśli o wojnie, o Magdzie, Pognębinie, Francuzach i Niemcach. Zdawało mu się, że, choćby chciał, nie mógłby się podnieść z tej ławki, na której siedział. Usnął wreszcie, ale niezdrowym półsnem. I zaraz nadleciały widziadła: ujrzał naprzód, jak jego Łysek gryzie się z Wojtkowym Burkiem, aż sierć z nich leci. On cap za kij, żeby

ich pogodzić, aż nagle widzi co innego: koło Magdy siedzi Francuz czarny, jak święta ziemia, a Magda kontenta, śmieje się i szczyrzy zęby. Inni Francuzi kpią z Bartka i pokazują na niego palcami... To zapewne lokomotywa trajkocze, ale jemu się zdaje, że to Francuzy wołają: »Magdal Magdal Magdal Magdal« Bartek w krzyk: »Stulta pyski, złodziejel puszczajta babę!« A oni: »Magdal Magdal Magdal« Lysek i Burek szczekają, cały Pognębin woła: »Nie daj baby!« On czy skrępowany, czy col Niel rzucił się, targnął, powrozy pękły, Bartek Francuza za łeb — i nagle...

Nagle wstrząsa nim silny ból, jakoby gwałtownego uderzenia. Bartek budzi się i zrywa na równe nogi. Cały wagon rozbudzony, wszyscy pytają: co się stało? A to biedaczysko Bartek złapał podoficera przez sen za brodę. Teraz oto stoi wyciągnięty jak drut, dwa palce przy skroni, a podoficer macha rękoma i krzyczy, jak wściekły:

— *Ach, Sie! Dummes Vieh aus der Polakeil Hau' ich den Lümmel in die Fresse, dass ihm die Zähne sektionenweise aus dem Maule herausstiegen werden!*<sup>1)</sup>

Podoficer aż ochrypl z wściekłości, a Bartek ciągle stoi z palcami przy skroni. Inni żołnierze gryzą wargi, by się nie śmiać, ale boją się, gdyż z ust podoficera padają jeszcze ostatnie strzały: *Ein polnischer Ochse! Ochse aus Podolent!*<sup>2)</sup> Nako-

<sup>1)</sup> Ach, wy! co za głupie było z tych Polaków! Jak lunę draba w pysk, to mu wszystkie naraz zęby z gęby wylecał (niem.).

<sup>2)</sup> Polski wół wół z Podola! (niem.).

niec ucichło wszystko. Bartek usiadł napowrót na dawnem miejscu. Czuł tylko, że policzki poczynają mu jakoś nabrzmiwać, a lokomotywa, jak na złość, powtarza ciągle:

— Magdal Magdal Magdal  
Czuł też wielki jakiś żal...

### III.

Ranek! Rozpierzchłe, blade światło oświeca twarze senne i zmęczone z niewywczasu. Na ławkach śpią w nieładzie żołnierze: jedni z głowami popuszczanemi na piersi, drudzy z zadartemi w tył. Wstaje jutrenka i zalewa różowością cały świat. Jest świeżo i rzeżwo. Żołnierze budzą się. Promienny ranek wydobywa z cienia i mgły jakąś nieznaną im krainę. Hej! a gdzie teraz Pognębin, gdzie Wielka i Mała Krzywda, gdzie Mizerów? To już obczyzna i wszystko inne. Naokół wzgórza, porośłe dębina, w dolinach domy kryte czerwona dachówką, z czarnemi krzyżownicami<sup>1)</sup> w białych ścianach, domy piękne, jak dwory, obrosłe winem. Gdzieś tam kościoły o śpiczastych wieżach, gdzieś tam kominy fabryczne z pióropuszcami różowych dymów. Tylko ciasno tu jakoś, równi brak i łąnów zbożowych. Ludzi za to mrowie. Migają wsie i miasta. Pociąg, nie zatrzymując się, mija

<sup>1)</sup> Krzyżownica — krzyżujące się belki, np. krzyżownica w oknach.



mnóstwo pomniejszych stacy. Coś się musiało stać, bo wszędy widać tłumy. Słońce wychyla się zwolna z za wzgórz, więc jeden i drugi Maciek poczyna głośno pacierz. Za ich przykładem idą inni; pierwsze promienie kładą blask na chłopskie twarze, modlące się i poważne.

Tymczasem pociąg zatrzymuje się na głównej stacy. Tłum ludzi otacza go natychmiast: są już wieści z placu boju. Zwycięstwo! zwycięstwo! Depesze przyszły od kilku godzin. Wszyscy oczekiwali klęsk, więc gdy zbudzono ich pomyślną wieścią, radość nie zna miary. Ludzie nawpół ubrani poopuszczali domy, łóżka i pośpieszyli na stacę. Z niektórych dachów powiewają już chorągwie, a ze wszystkich rąk chustki. Do wagonów donoszą piwo, tytuń i cygara. Zapal jest nieopisany, twarze rozpromienione. *Wacht am Rhein* huczy ciągle jak burza. Niektórzy płaczą, inni padają sobie w objęcia. *Unser Fryc*<sup>1)</sup> pobił na głowę! wzięto armaty, chorągwie. W szlachetnym zapale tłumy oddają żołnierzom wszystko, co mają. Otucha wstępuje w serca żołnierzy, i zaczynają śpiewać także. Wagony drżą od mocnych męskich głosów, a tłum słucha z zadziwieniem słów niezrozumiałych pieśni. Pogrzebińscy śpiewają: »Bartoszu! Bartoszu! oj nie traćwa nadziei!« — *Die Polen! die Polen!*<sup>2)</sup> — powtarza tłum sposobem objaśnienia i kupi się koło wagonów, podziwiając postawę żołnierza,

<sup>1)</sup> »Nasz Fryderyk« -- t. j. Fryderyk, ówczesny pruski następca tronu (niem.)

<sup>2)</sup> Polacy! Polacy! (niem.)

a zarazem umacniając się w radości opowiadaniem anegdot o strasznem męstwie tych polskich pułków.

Bartek ma rozpuchłe policzki, co przy jego żółtych wąsach, wylupiastych oczach i ogromnej kościstej postawie czyni go strasznym. Podziwiają go też, jak osobliwsze zwierzę. Jakich to Niemcy mają obrońców! Ten dopiero sprawi Francuzom! Bartek uśmiecha się z zadowoleniem, bo i on jest kontent, że Francuzów pobili. Nie przyjdą już przynajmniej do Pogrzebina, nie zbalamucą Magdy i nie zabiorą gruntu. Uśmiecha się tedy, ale ponieważ twarz boli go mocno, więc krzywi się zarazem i naprawdę jest straszny. Je za to z apetytem homerycznego<sup>1)</sup> bohatera. Kiszki grochowe i kufle piwa znikają w jego ustach, jak w czeluści. Dają mu cygara, fenigi<sup>2)</sup>: bierze to wszystko.

— Dobry jakiś naród te Niemiaszki — mówi do Wojtka, a po chwili dodaje: — a widzisz, że Francuzów pobili!

Ale sceptyczny<sup>3)</sup> Wojtek rzuca cień na jego wesołość. Wojtek wróży, jak Kasandra<sup>4)</sup>:

— Francuzy zawdy naprzód dają się pobić, żeby zbalamucić, a potem, jak się wezmą, aż wióry lecą!

Wojtek nie wie o tem, że zdanie jego po-

<sup>1)</sup> Bohater w poematach greckich, przypisywanyeh Homerowi, »Iliadzie« i »Odyssei«.

<sup>2)</sup> *Fenig* — drobna moneta niemiecka (= prawie grosz).

<sup>3)</sup> *Sceptyczny* — człowiek, który wątpli o wszystkiem i w nic nie wierzy.

<sup>4)</sup> *Kassandra* — w »Iliadzie« jedna z córek króla Troi, Pryama, przepowiadała upadek ojczyzny.

dziela większa część Europy, a jeszcze mniej o tem, że cała Europa myli się z nim razem.

Jadą dalej. Wszystkie domy, jak okiem sięgnąć, pokryte chorągwiami. Na niektórych stacyach zatrzymują się dłużej, bo wszędy pełno pociągów. Wojsko ze wszystkich stron Niemiec śpieszy wzmocnić zwycięskich współbraci. Pociągi poubierane w zielone wieńce. Ułani zatykają na lance bukiety kwiatów, darowane im po drodze. Między tymi ułanami większość także Polaków. Nieraz słyhać z wagonu do wagonu rozmowy i nawoływania:

— Jak się mata, chłopyl! a gdzie Pan Bóg prowadzi?

Czasem z przelatującego po sąsiednich szynach pociągu zaleci znajoma piosnka:

Z tamtej strony Sandomierza  
Mówi panna do żołnierza...

A wtedy Bartek i jego kamraci podchwy-  
tują wlot:

— Panie żołnierzu, chodź pokochać!  
— Jeszczem nie jadł, Bóg ci zapłaci!

O ile z Pognębina wszyscy wyjechali smutni, o tyle teraz pełni są zapału i ducha. Pierwszy pociąg z pierwszymi rannymi, przybywający z Francji, psuje jednak to dobre usposobienie. Staje on w Deutz i stoi długo, by przepuścić te, które śpieszą na plac boju. Ale nim wszystkie przejdą przez most do Kolonii, potrzeba kilku godzin czasu. Bartek leci razem z innymi oglądać chorych i rannych. Niektórzy leżą w zamkniętych, inni dla braku

miejsca w otwartych wagonach, i tych można widzieć dobrze. Po pierwszym spojrzeniu duch bohaterski Bartka ulatuje znowu na ramię.

— Chodźże tu, Wojtek! — woła z przerażeniem — widzisz ino, ile te Francuzi napsowały narodu!

I jest na co patrzeć! Twarze blade, zmęczone; niektóre szerniały od prochu, lub bólu, powalane krwią. Na odgłosy ogólnej radości ci odpowiadają tylko jękami. Niektórzy klną wojnę, Francuzów i Niemców. Usta spieczone i szerniały wołają co chwila wody; oczy poglądują, jak błędne. Tu i owdzie między rannymi widac zeszywniałą twarz konającego, czasem spokojną, z błękitnymi sińcami naokół oczu, czasem wykrzywioną przez konwulsje, z przerażeniami oczyma i wytrzeszczonymi zębami. Bartek po raz pierwszy widzi krwawe owoce wojny. W głowie jego znów powstaje zamęt, patrzy jak odurzony i stoi w tłoku z otwartymi ustami; popychają go na wszystkie strony; żandarm daje mu kolbę w kark. On szuka oczyma Wojtka, odnajduje go i mówi:

— Wojtek, bój się Bogal o!  
— Będzie tak i z tobą.

— Jezus Maryal! I to się ludziska tak mordują! Toć jak chłop chłopą pobije, to go żandarmy biorą do sądu i karzą!

— No, a teraz ten lepszy, kto więcej ludzisków napsuje. Cóżes, głupi, myślał, że będziesz prochem strzelał, jak na manewrach, albolu też do tarczy, nie do ludzi?

Tu okazała się widocznie różnica między teo-



ryą a praktyką. Nasz Bartek był przecie żołnierzem, chodził na manewry i mustry, strzelał, wiedział, że wojna od tego, by się zabijać, a teraz, jak zobaczył krew rannych, nędzę wojny, zrobiło mu się tak jakoś niedobrze i ckliwo, że ledwie się mógł na nogach utrzymać. Nabrał znów uszanowania dla Francuzów, które zmniejszyło się dopiero wtedy, gdy przejechali z Deutz do Kolonii. Na centralnym banhofie<sup>1)</sup> ujrzeli po raz pierwszy jeńców. Otaczało ich mnóstwo żołnierzy i ludu, który patrzył na nich z dumą, ale jeszcze bez nawiści. Bartek przedarł się przez tłum, rozpychając go łokciami, spojrział na wagon i zdziwił się.

Gromada francuskich piechurów w podartych płaszczach, małych, brudnych, wynędzniałych, napelniała wagon, jak śledzie beczkę. Wielu z nich wyciągało ręce po szczupłe datki, jakimi obdzielał ich tłum, o ile straż nie stawiała przeszkody. Bartek, wedle tego co słyszał od Wojtka, zgoła inne o Francuzach miał wyobrażenie. Duch z ramienia wstąpił mu napowrót w piersi. Obejrzał się, czy Wojtka niema. Wojtek stał obok.

— Cóżes gadał? — pyta Bartek — dyć to chmyzył! Jakbym jednego bez łeb lunął, toby się ze czterech wywróciło.

— Musi jakoś zmarnieli — odrzekł również rozczarowany Wojtek.

Po jakimu oni szwargocą?

---

<sup>1)</sup> Centralny banhof — dworzec kolejowy dla wszystkich linii, schodzących się w jakimś mieście.

— Juści nie po polsku.

Uspokojony pod tym względem, Bartek poszedł dalej wzdłuż wagonów.

— Straszne kapcany! — rzekł, skończywszy przegląd wojsk liniowych.

Ale w następnych wagonach siedzieli żuawi<sup>1)</sup> Ci więcej dali Bartkowi do myślenia. Z powodu że siedzieli w wagonach krytych, nie można było sprawdzić, czy każdy jest chłop, jak dwa albo trzy razy zwyczajny człowiek, ale przez okna widać było długie brody i marsowate<sup>2)</sup>, poważne twarze starych żołnierzy o ciemnej cerze i błyszczących groźnie oczach. Duch Bartka znowu skierował się ku ramionom.

— Te straszniejsze — szepnął cicho, jakby się bał, by go nie słyszeli.

— Jeszcześ nie widział tych, co się nie dali wziąć — odparł Wojtek.

— Bójże się Bogal

— Obaczysz!

Napatrzywszy się żuawom, poszli dalej. Zaraz przy następnym wagonie Bartek rzucił się w tył jak oparzony.

— O, rety! Wojtek, ratuj!

W otwartem oknie widać było ciemną, prawie czarną twarz turkosa<sup>3)</sup> z przewróconemi biał-

---

<sup>1)</sup> Żuaw — żołnierz francusko-afrykański z Algieru, ubrany w kostium wschodni.

<sup>2)</sup> Marsowaty — groźny.

<sup>3)</sup> Turkos — strzelec algierski (Murzyn) na służbie w armii francuskiej.

kami oczu. Musiał być ranny, bo twarz wykrzywiła mu się cierpieniem.

— A co? — rzecze Wojtek.

— To złe, nie żołnierz... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!

— Spójrzij ino, jakie on ma zębiska.

— A niech go wciornaści! ja tam nie będę na niego patrzył.

Bartek umilkł, po chwili jednak spytał:

— Wojtek!

— Czego?

— A żeby takiego przeżegnać, czyby nie pomogło?

— Pogany na świętą wiarę nie mają wyrozumienia.

Dano znak do wsiadania. Po chwili pociąg ruszył. Gdy ściemniło się, Bartek widział ciągle przed sobą czarną twarz turkosa i straszne białka jego oczu. Z uczuć, które w tej chwili ożywiały tego pognębińskiego wojownika, niewiele możnaby wywróżyć o jego przyszłych czynach.

#### IV.

Bliższy udział w walnej rozprawie pod Gravelotte początkowo przekonał Bartka tylko o tem, że w bitwie jest się na co gapić, a niema co robić. Z początku bowiem kazano stać i jemu, i jego pułkowi z karabinem u nóg u stóp wzgórze, pokrytego winogradem. Zdala grały armaty, zbliżka

przelatywały pułki konne z tętentem, od którego się ziemia trzęsła; migotały to chorągiewki, to kirasyerskie<sup>1)</sup> miecze. Nad wzgórzem po błękitnym niebie przelatywały z sykiem granaty w kształcie białych obłoczków, potem dym napelnił powietrze i zasłonił horyzont. Zdawało się, że bitwa, jak burza, przechodzi stronami, ale trwało to niedługo.

Po pewnym czasie dziwny jakiś ruch powstał koło Bartkowego pułku. Poczty koło niego stawać inne pułki, a w przerwy pomiędzy nimi nadbiegały, co koń wyskoczy, armaty, które wyprzęgano na gwałt i obracano paszczami ku wzgórzom. Cała dolina napelniła się wojskiem. Teraz na wszystkie strony brzmia komendy, latają adjutanci. A nasi szeregowcy szepczą sobie do ucha: »Oj! będziesz nam, bądźcie!« — lub pytają jeden drugiego z niepokojem: »Czy to już się zacznie?« — »Zapewne już«. Oto zbliża się niepewność, zagadka, może śmierć... W dymie, który zasłania wzgórze, wre coś i kotłuje się strasznie. Słychać coraz bliżej basowy huk dział i stukotanie karabinowego ognia. Zdala dochodzi jakby niewyraźny jakiś trzask: to kartaczownice już słychać. Nagle, jak hukną dopiero co postawione armaty, aż ziemia i powietrze zadygotały razem. Przed Bartkowym pułkiem zasyczało strasznie. Spojrzą: leci niby róża jasna, niby chmurka, a w tej chmurce coś syczy, śmieje się, zgrzyta, rży i wyje. Chłopi wołają: »Granat! granat!« Tymczasem pędzi ten ptak wojny, jak wichur, zbliża się, spada, pęka! Huk straszny

<sup>1)</sup> Kuasyerzy — ciężka jazda.



rozdarł uszy, łoskot jakby się świat walił, i pęd jakby od uderzenia wiatru. Zamieszanie powstaje w szeregach, stojących w pobliżu armat, rozlega się krzyk i komenda: »Szlusuj!«<sup>1)</sup> Bartek stoi w pierwszym szeregu, karabin przy ramieniu, łeb do góry, broda podpięta, więc zęby nie kłapią. Nie wolno drgnąć, nie wolno strzelać. Stać! Czekać! Aż tu leci drugi granat, trzeci, czwarty, dziesiąty... Wicher zwiewa dym ze wzgórza. Francuzi już spędzili z niego baterie pruskie, już postawili swoje i teraz zieją ogniem na dolinę. Co chwila z gęstwy winogradu wyskakują długie, białe rzuty dymu. Piechota pod zasłoną armat zstępuje coraz niżej, by rozpocząć ręczny ogień. Są już w połowie wzgórza. Teraz widać ich doskonale, bo wiatr odrzuca dymy. Czy winograd zakwitł makiem? Nie, to czerwone czapki piechurów. Naraz nikną między wysoką łożyną winną, nie widać ich; gdzieś tam tylko widać trójkolorowe chorągwie. Ogień karabinowy rozpoczyna się szybki, gorączkowy, nieregularny, wybuchający nagle w coraz innych miejscach. Nad tym ogniem wyją ciągle granaty i krzyżują się w powietrzu. Na wzgórzu czasem wybuchną okrzyki, którym z dołu odpowiada niemieckie: »hurra!« Armaty z doliny huczą nieprzerwanym ogniem. Pulk stoi niewzruszony.

Sfera<sup>2)</sup> ognia poczyną go jednak z kolei obejmować. Kule bzykają niby muchy, niby baki zdaleka, lub przelatują ze strasznym świstem w po-

<sup>1)</sup> Szlusowac — zwierać szeregi.

<sup>2)</sup> Sfera tu: przestrzeń.

bliżu. Coraz ich więcej: oto świszczą koło głów, nosów, oczu, ramion, idą ich tysiące, miliony. Dziw, że jeszcze ktoś stoi na nogach. Nagle tuż za Bartkiem odzywa się jęk: »Jezu!« potem: »Szlusuj!« znów: »Jezu!« — »Szlusuj!« Wreszcie jęk już nieprzerwany, komenda coraz śpieszniejsza, szeregi ściskają się, świst coraz częstszy, nieustający, okropny. Zabitych wyciągają za nogi. Sąd Boży!

— Boisz się? — pyta Wojtek.

— Co się nie mam bać?... — odpowiada nasz bohater, szczękając zębami.

A jednak stoją obaj, i Bartek i Wojtek, i nawet do głowy im nie przychodzi, że możnaby zemknąć. Kazali im stać i kwita! Bartek kłamie. Nie boi on się tak, jakby tysiące innych bało się na jego miejscu. Dyscyplina<sup>1)</sup> panuje nad jego wyobraźnią, a wyobraźnia nie maluje mu nawet tak okropnem położenia, jak ono jest. Bartek jednak sądzi, że go zabiją, i powierza tę myśl Wojtkowi.

— Dziury w niebie nie będzie, jak jednego kpa zabiją! — odpowiada rozdrażnionym głosem Wojtek.

Słowa te uspakajają Bartka znacznie. Zdawałoby się, że głównie chodziło mu o to, czy się dziura w niebie nie robi? Uspokojony pod tym względem, stoi cierpliwiej, czuje tylko okropne gorąco i pot zlewa mu twarz. Tymczasem ogień staje się tak straszny, że szeregi topnieją w oczach. Zabitych i rannych niema już kto wyciągać. Chrapanie konających miesza się ze świstem pocisków

<sup>1)</sup> Dyscyplina karność.

i hukiem wystrzałów. Po ruchu trójbarwnych chorągwi widać, że ukryte w winnicy piechury zbliżają się coraz bliżej. Stada kartaczy dziesiątkują szeregi, które poczyną ogarniać rozpacz.

Ale w odgłosach tej rozpaczycy czuć pomruk zniecierpliwienia i wściekłości. Gdyby kazano im iść naprzód, poszliby jak burza. Nie mogą tylko ustać na miejscu. Jakiś żołnierz zrywa nagle czapkę z głowy, ciska ją z całą siłą o ziemię i mówi:

— Raz kozie śmierć!

Bartek doznaje znów na te słowa tak znakomitej ulgi, że prawie zupełnie przestaje się bać. Bo jeżeli raz kozie śmierć, to właściwie o nic wielkiego nie chodzi. Jest to filozofia chłopska, lepsza od każdej innej, skoro dodaje otuchy. Bartek zresztą wiedział, że raz kozie śmierć, ale miło mu to usłyszeć i mieć zupełną pewność, zwłaszcza że bitwa zaczęła się zmieniać w pogrom. Oto pułk, nie wystrzeliwszy ani razu, jest już do połowy zniszczony. Tłumy żołnierzy z innych rozbitych pułków przebiegają koło niego w nieładzie; tylko ci chłopci z Pognębina, Krzywdy Wielkiej, Krzywdy Małej i Mizerowa, trzymani żelazną pruską dyscypliną, stoją jeszcze. Ale i w ich szeregach czuć już pewne wahanie się. Za chwilę pękną karby dyscypliny. Ziemia pod ich nogami staje się już miękka i ślizka od krwi, której surowy zapach miesza się z wonią dymu. W niektórych miejscach szeregi nie mogą się zewrzeć, bo trupy czynią w nich przerwy. U nóg tych ludzi, którzy jeszcze stoja, druga połowa leży we krwi, w ję-

kach, w konwulsjach, w konaniu, lub w ciszy śmierci. Oddechem braknie powietrza. W szeregach powstaje szmer.

— Na rzeź nas przywiedli!

— Nikt nie wyjdzie!

— *Still, polnisches Vieh!*<sup>1)</sup> — odzywa się głos oficera.

— Dobrze ci za moim kołnierzem..

— *Steht der Kerl da!*<sup>2)</sup>

Nagle jakiś głos poczyną mówić:

— Pod Twoją obronę..

Bartek podchwytuje natychmiast:

— Uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko!

I wkrótce chór polskich głosów na tem polu zagłady woła oto do Patronki Częstochowskiej: »Naszemi prośbami nie racz gardzić!« A z pod nóg wtórują im jęki: »O Maryo, Maryo!« I wysłuchała ich widocznie, bo w tej chwili na spienionym koniu przybiega adjutant, rozlega się komenda: »Do ataku broń! hurra, naprzód!« Grzebień bagnetów pochyla się nagle, szereg wyciąga się w długą linię i rzuca się ku wzgórzom, szukać bagnetem tych nieprzyjaciół, których nie mogły dostrzedz oczy. Wszelako od stóp wzgórz dzieli naszych chłopów jeszcze ze dwieście kroków, i przestrzeń tę muszą przebyć pod morderczym ogniem.. Czy nie wyginą do reszty? czy się nie cofną? Wyginąć mogą, ale się nie cofną, bo komenda pruska wie, na jaką nutę grać tym polskim chłopom do ataku. Wśród

<sup>1)</sup> Cicho, polskie bydło (niem.)

<sup>2)</sup> Stójcie tam, gałgany (niem.)



ryku dział, wśród karabinowego ognia, dymu i zamieszania i jęków, głośniejszym nad wszystkie trąby i trąbki biją w niebo hymnem, od którego każda kropla krwi skacze w ich piersiach: »Hurra!« odpowiadają Maćki. »Póki my żyjemy!« Ogarnia ich zapał, płomień bije im na twarze. Idą, jak burza, przez zwalone ciała ludzkie, końskie, przez złomy armatnie. Giną, ale idą z krzykiem i śpiewem. Już dobiegają krańca winnicy, nikną w zaroślach. Śpiew tylko brzmi, czasem błysnie bagnet. Na górze wre ogień coraz straszniejszy. Na dole trąbki wciąż grają. Salwy francuskich wystrzałów stają się śpieszniejsze, jeszcze śpieszniejsze, gorączkowe i nagłe...

Nagle milkną.

Tam na dole stary wilk wojenny, Steinmetz, zapala porcelanową fajkę i mówi z akcentem zadowolenia:

— Im tylko to grać! Doszli zuchyl

Jakoż po chwili jeden z dumnie powiewających trójbarwnych sztandarów podskakuje w górę, pochyla się i niknie...

— Nie żartuj! — mówi Steinmetz.

Trąby grają znowu ten sam hymn. Drugi pułk poznański idzie w pomoc pierwszemu.

W gęstwinie wre bitwa na bagnety.

Teraz, Muzo<sup>1)</sup>, śpiewaj mojego Bartka, aby potomność wiedziała co czynił. Oto i w jego sercu

---

<sup>1)</sup> *Muza* — bogini sztuki i poezji u Greków starożytnych.

strach, niecierpliwość, rozpacz zwały się w jedno uczucie wściekłości; a gdy usłyszał ową muzykę, to każda żyłka wyprężyła się w nim, jak drut żelazny. Włos stanął mu dębem, z oczu skry poszły. Zapomniał o świecie, o tem, że »raz kozie śmierć«, i, chwyciwszy w potężne łapy karabin, skoczył z innymi naprzód. Dobiegłszy wzgórze, przewrócił się z dziesięć razy na ziemię, stłukł sobie nos, powalał się ziemią i krwią, która mu z nosa pociekła, biegł naprzód, wściekły, zziębnięty, chwytając w otwarte usta powietrze. Wytrzeszczał oczy, by w gęstwinie zobaczyć jak najprędzej jakiegoś Francuza, i dojrzał ich wreszcie trzech naraz przy chorągwi. Byli to turkosy. Ale czy myślicie, że Bartek się cofnął? Nie! onby teraz samego Lucycpera brał za rogil! Dopadł już do nich, i oni z wyciem rzucili się ku niemu; dwa bagnety, jak dwa żądła, już, już tykają jego piersi, a mój Bartek jak złapie za karabin z cienkiego końca, niby kłonicę<sup>1)</sup>, jak machnie, jak poprawi... Wrzask tylko odpowiedział mu straszny, jęk — i dwa czarne ciała poczęły drgać konwulsyjnie na ziemi.

W tej chwili trzeciemu, który trzymał chorągiew, podbiegło na pomoc z dziesięciu towarzyszków. Bartek jak furja<sup>2)</sup> rzucił się na wszystkich razem. Dali ognia — błysnęło, huknęło, i jednocześnie w kłębach dymu zagrzemiał chrapliwy ryk Bartka:

---

<sup>1)</sup> *Kłonica* — drąg, podtrzymujący w wozie drabinki lub skrzynie, a umocowany u osi.

<sup>2)</sup> *Furya* — jędra piekielna u starożytnych Rzymian.

— Chybiliśta!

I znów karabin w jego ręku zatoczył łuk straszliwy, znów jęki odpowiedziały ciosom. Turkosi cofnęli się w przerażeniu na widok tego oszalałego ze wściekłości olbrzyma, i czy się Bartek przesłyszał, czy też wołali coś po arabsku, dość, że wyraźnie mu się zdawało, iż z ich szerokich warg wychodzi krzyk:

— »Magda! Magda!»

— Magdy wam się chce! — zawył Bartek i jednym skokiem był w środku nieprzyjaciół.

Szczęściem w tej chwili Maćki, Wojtki i inni Bartkowie przybiegli mu na pomoc. Wśród gęstwiny winogrodu zawiązała się bitwa ściśniona i tłumna, której wtórował trzask karabinów, świst nozdrzy i gorączkowy oddech walczących. Bartek szalał, jak burza. Osmalony dymem, oblany krwią, podobniejszy do zwierzęcia, niż do człowieka, nie pamiętny na nic, każdym uderzeniem przewracał ludzi, łamał karabiny, rozwałkał głowy. Ręce jego poruszały się z straszną szybkością maszyny, siejącej zniszczenie. Dotarłszy do chorążego, chwycił go żelaznymi palcami za gardło. Oczy chorążego wyszły na wierzch, twarz nabrzmiała, zacharczał, i ręce jego puściły drzewiec.

— Hurra! — krzyknął Bartek i, podniósłszy chorągiew, zakolysał nią w powietrzu.

Ten to wznoszony i upadający sztandar widział z dołu generał Steinmetz.

A mógł go widzieć tylko przez jedno mgnienie oka, bo w drugim — Bartek tą samą chorąg-

wią strzaskał już jakąś głowę, nakrytą kepi<sup>1)</sup> ze złotym sznurkiem.

Tymczasem towarzysze jego skoczyli już naprzód.

Bartek został przez chwilę sam. Obdarł sztandar, schował go w zanadrze, i schwyciwszy w obie ręce drzewce, rzucił się za towarzyszami.

Gromady turkosów, wyjąc nieludzkimi głosami, uciekały teraz ku stojącym na szczycie wzgórze armatom, za nimi zaś biegli Maćki, krzycząc, goniąc, tłukąc kolbami i bagnietami.

Żuawi, stojący przy armatach, powitali jednych i drugich karabinowym ogniem.

— Hurra! — krzyknął Bartek.

Chłopi doszli do armat. Zawiązała się przy nich nowa bitwa na białą broń. W tej chwili też drugi pułk poznański nadbiegł na pomoc pierwszemu. Chorągwi drzewce w potężnych łapach Bartka zmieniło się teraz w jakieś piekielne cepy. Każde ich uderzenie otwierało wolną drogę w ściśnionych szeregach francuskich. Przerażenie też zaczęło ogarniać żuawów i turkosów. W miejscu, w którym walczył Bartek, pierzchali. Po chwili pierwszy Bartek siedział już na armacie, jak na pognębińskiej kobyle.

Ale nim żołnierze mieli czas dostrzedz go na niej, on już siedział na drugiej, przy której znów obalił chorążego z chorągwią.

— Hurra, Bartek! — powtórzyli żołnierze.

Zwycięstwo było zupełne. Zdobyto wszystkie

<sup>1)</sup> Kepi - czapeczka wojskowa w armii francuskiej.



kartaczownice. Pierzchająca piechota, wpadłszy po drugiej stronie wzgórza na nowy pruski pułk, złożyła broń.

Bartek zdobył jednak w pogoni trzecią jeszcze chorągiew.

Trzeba go było widzieć, gdy zmęczony, obłany potem i krwią, sapiąc, jak miech kowalski, zstępował teraz razemz innymi ze wzgórza, dźwigając na ramionach trzy chorągwie. Francuzi! hej! co on sobie z nich robił! Obok niego siedł podrapany i pokiereszowany Wojtek, więc Bartek do niego:

— Cóżes gadał? Toć to robactwo: siły w kościach nijakiej nie ma. Podrapały ta mnie i ciebie, jak kociaki, ale i tyła. A com którego lunął, to ci o ziemię...

— Kto cię wiedział, żeś taki zawzięty! — odparł Wojtek, który widział czyny Bartka i począł patrzeć na niego zgoła innemi oczyma.

Ale któż tych czynów nie widział? Historia, cały pułk i większość oficerów. Wszyscy spoglądali teraz na tego olbrzymiego chłopca, o rzadkich płowych wąsach i wyłupiastych oczach, z podziwem. — *Ach! Sie verfluchter Polake!*<sup>1)</sup> — powiedział mu sam major i pociągnął go za ucho, a Bartek aż mu trzonowe zęby pokazał z radości. Gdy pułk znów stanął u stóp wzgórza, major pokazał go pułkownikowi, a pułkownik samemu Steinmetzowi.

Ten obejrzał sztandary i kazał je zabrać, po

<sup>1)</sup> Ach, ty przeklęty Polaku! (niem.)

czem począł oglądać Bartka. Mój Bartek stoi znów wyciągnięty jak struna i prezentuje broń, a stary generał patrzy na niego i kręci głową z zadowoleniem. Nakoniec zaczyna coś mówić do pułkownika. Słysząc wyraźnie słowo: *Unteroffizier*<sup>1)</sup>.

— *Zu dumm, Excellenz!*<sup>2)</sup> — odpowiada major.

— Spróbujmy — mówi Jego Ekscelencya, i zwracając konia, zbliża się do Bartka.

Bartek sam już nie wie, co się z nim dzieje. Rzecz niesłychana w pruskiej armii: generał będzie rozmawiał z szeregowcem! Jego Ekscelencyi przyjdzie to tem łatwiej, że umie po polsku. Zresztą szeregowiec ten zdobył trzy sztandary i dwie armaty.

— Skąd jesteś? — pyta generał.

— Z Pognębina — odpowiada Bartek.

— Dobrze. Imię twoje?

— Bartek Słowik.

— *Mensch...* — tłumaczy major.

— *Mens!* — powtarza Bartek.

— Wiesz, za co bijesz Francuzów?

— Wiem, Celencyjo...

— Powiedz!

Bartek zaczyna się jękać: »Bo... bo...« Nagle słowa Wojtka przychodzą mu szczęśliwie na pamięć, wybucha więc prędko, by nie przekreślić:

— Bo to także Niemcy, tylko ścierwa gorszel!

Twarz starej Ekscelencyi zaczyna tak drgać, jakby Jego Ekscelencya miała ochotę wybuchnąć

<sup>1)</sup> Podoficer (niem.)

<sup>2)</sup> Za głupi, ekscelencyo (niem.)

śmiechem. Po chwili jednak jego Ekszelencyja zwraca się do majora i mówi:

— Miałeś pan słuszność.

Mój Bartek, kontent z siebie, stoi ciągle jak struna.

— Kto wygrał dziś bitwę? — pyta znów generał.

— Ja, Celencyjo! — odpowiada bez wahania Bartek.

Twarz Ekszelencyi poczyna znów drgać.

— Tak, tak, ty! A oto masz nagrodę...

Tu stary wojownik odpina krzyż żelazny z własnej piersi, następnie schyla się i przypina go Bartkowi. Dobry humor generała drogą zupełnie naturalną odbija się na twarzach pułkowników, majorów, kapitanów, aż do podoficerów. Po odjeździe generała pułkownik daje ze swej strony Bartkowi dziesięć talarów, major pięć i tak dalej. Wszyscy powtarzają mu, śmiejąc się, że wygrał bitwę, skutkiem czego Bartek jest w siódmym niebie.

Dziwna rzecz. Jeden tylko Wojtek niebardzo jest z naszego bohatera zadowolony.

Wieczorem, gdy zasiedli obaj przy ognisku i gdy szlachetna twarz Bartka zapchana była kiszka grochową tak dokładnie, jak sama kiszka grochowa, Wojtek ozwał się tonem rezygnacji:

— Oj, ty Bartek, głupi jesteś, bo głupi...

— Albo co? — mówi przez kiszkę Bartek.

— Cóżes ty, człeku, nagadał generałowi o Francuzach, że ony Miemcy?

— A sameś prawil...

— Ale trzeba ci było zmiarkować, że generał i oficerzy też Miemcy.

— To i co z tego?

Wojtek począł się jakoś jąkać.

— To, że choć ony Miemcy, ale nie trzeba im tego mówić, boć to zawdy nieładnie...

— Toć ja na Francuzów powiedziałem, nie na nich...

— Ej, kiedy bo to...

Wojtek uciął nagle, widocznie sam chciał także co innego powiedzieć; chciał oto wytłumaczyć Bartkowi, że przy Niemcach nie należy źle mówić o Niemcach, ale jakoś mu się język poplątał...

---

## V.

W jakiś czas potem królewsko-pruska poczta przywiozła do Pognębina list następujący:

»Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Jego święta Rodzicielka! Najukochańsza Magdo! Co u ciebie słyhać? Dobrze ci w chałupie pod pierzyną, a ja tu wojuję okrutnie. Byliśma koło wielkiej fortecy Miec, i była bitwa, i takemci Francuzów sprął, że się cała infanterya<sup>1)</sup> i artylerya dziwowały. I sam jenerał się dziwował i powiedział, że batalię wygrał i dał mnie krzyż. A teraz to ci mnie i oficerzy i unteroficerzy<sup>2)</sup> bardzo

---

<sup>1)</sup> Infanterya piechota.

<sup>2)</sup> Podoficerowie.



szanują i po pvsku mało co biją. Potem pomaszrowaliśma dalej, i była druga batalia, jeno zabaczyłem, jak się to miasto nazywa, i teżem prai czwarty sztandar wziąłem, a jednego największego pułkownika od kirasyerów tom przetrąci i do niewoli zabrałem. A jak będą nasze pułki odsyłać do domu, to mi unterofercer radził, żeby napisał »reklamacyę«<sup>1)</sup> i ostał się, bo na wojnie tylko spać gdzie niema, ale zreć ile wytrzymasz i wino w tym kraju jest wszędzie, bo naród bogaty. Jakeśma palili jedną wieś, tośma i dzieciom i babom nie przepuścili, i ja też. Kościół ci się spalił do cna, bo ony są katoliki, i ludzi się popiekło niemało. Idziema teraz na samego cesarza, i będzie koniec wojny, a ty pilnuj chałupy i Franka, bo niechbyś nie pilnowała, tobym ci chyba giry<sup>2)</sup> poprzetrącał, żebyś wiedziała, com za jeden. Bogu cię polecam.

*Bartłomiej Stowik*»

Bartek widocznie zasmakował w wojnie i począł patrzeć na nią, jak na właściwe sobie rzemiosło. Nabrał wielkiej ufności w siebie i do bitwy teraz szedł, jakby się zabierał do jakiej roboty w Pognębinie. Na pierś jego po każdej rozprawie leciały medale i krzyże, a choć podoficerem nie został, powszechnie miano go za pierwszego szeregowca w pułku. Był zawsze karny, jak dawniej, i posiadał ślepe męstwo człowieka, który nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Mę-

<sup>1)</sup> *Rcklamacya* — żądanie piśmienne.

<sup>2)</sup> *Gira* noga (gwarowe).

stwo to nie płynęło już tak, jak w pierwszych chwilach ze wściekłości. Teraz źródłem jego była praktyka żołnierska i wiara w siebie. Przytem olbrzymie jego siły wytrzymywały wszelkie trud, pochody i niewczasy. Ludzie marnieli obok niego, on jeden trwał niepożycie, tylko dziczał coraz bardziej i stawał się coraz sroższym pruskim żołdakiem. Począł on teraz nietylko bić Francuzów, ale i nienawidzić ich. Pozmieniały się też i inne jego pojęcia. Stał się żołnierzem-patryotą i uwielbiał ślepo swoich przywódców. W następnym liście pisał do Magdy:

»Wojtka na dwoje rozerwało, ale od tego jest wojna, rozumiesz? On też był kiep, bo powiadał, że Francuzy to Niemcy, a ony są Francuzy, a Niemcy to nasi«.

Magda w odpowiedzi na obydwia listy nawymyślała mu, co wlało:

»Najukochańszy Bartku, pisała, przed ołtarzem świętym mi poślubiony! Ażeby cię Bóg pokarał! Tyś sam kiep, poganinie, kiedy naród katolicki na spółkę z kasztanami<sup>1)</sup> mordujesz. To nie rozumiesz, że kasztany są lutry, a ty, katolik, im pomagasz! Chce ci się wojny, walkoniu, bo możesz nic nie robić, jeno się bić, pić i innych poniewierać, i nie pościć, i kościoły palić. A bodaj ciebie w piekle za to palili, że się jeszcze tem chwalisz i ni na starych, ni na dzieci nie masz wyrozumienia. Pamiętaj, baranie, na to, co w świę-

<sup>1)</sup> t. j. Niemcami-ewangelikami.

tej wierze jest pisane złotemi literami od początku świata do dnia sądu ostatecznego dla polskiego narodu, w którym dniu Bóg najwyższy nie będzie miał dla takich capów wyrozumienia, i pohamuj się, Turku jeden, żebym ci tego twojego łba nie rozbiła. Pięć talarów ci posyłam, choć mi tu bieda, bo sobie rady dać nie mogę, i gospodarstwo się marnuje. Ściskam cię, najukochańszy Bartku.

Magda.

Morały, w liście tym zawarte, małe na Bartku zrobiły wrażenie: »Baba służby nie rozumie, myślał sobie, a wtrąca się«. I wojował po staremu. Odznaczał się w każdej niemal bitwie, tak, że wkońcu padły nań oczy jeszcze od Steinmetzowych dostojniejsze. Nakoniec gdy zniszczone pułki poznańskie odesłano w głąb Niemiec, on za radą podoficera podał »reklamacyę« i został. Skutkiem tego znalazł się pod Paryżem.

Listy jego pełne były teraz lekceważenia dla Francuzów. »W każdej bitwie tak ci zdzierają<sup>1)</sup>, jak zające« — pisał do Magdy. I pisał prawdę. Ale oblężenie niezbyt przypadło mu do smaku. Pod Paryżem trzeba było leżeć po całych dniach w podkopach i słuchać huku dział, częstokroć sypać szańce<sup>2)</sup> i moknąć. Przytem żał mu było swego dawnego pułku. W tym, do którego przeniesiono go teraz, jako ochotnika, otaczali go po większej

<sup>1)</sup> Zdzierać — uciekać.

<sup>2)</sup> Szaniec — wał ziemny, okop.

części Niemcy. Po niemiecku umiał on trochę, bo się jeszcze w fabryce nieco poduczył, ale tak sobie, piąte przez dziesiąte. Teraz począł się wprawiać szybko. Nazywano go jednak w pułku *ein polnischer Ochs*<sup>1)</sup>, i tylko jego krzyże i straszliwe pięści zasłaniały go przed dotkliwymi żartami. Wszelako po kilku bitwach zyskał sobie szacunek u nowych towarzyszków i począł się z nimi zżywać powoli. Wkońcu uważano go za jednego ze swoich, ile że cały pułk okrył sławą. Bartek poczytywałby sobie zawsze za obelgę, gdyby go kto nazwał Niemcem, ale za to sam siebie, w przeciwstawieniu do Francuzów, nazywał *ein Deutscher*<sup>2)</sup>. Zdawało mu się, że to zupełnie co innego, a przytem nie chciał uchodzić za gorszego, niż inni. Zaszedeł wszelako wypadek, który dałby mu wiele do myślenia, gdyby myślenie wogóle było łatwiejsze dla tego bohaterskiego umysłu. Oto pewnego razu kilka kompanii jego pułku wykomenderowano przeciw wolnym strzelcom, zrobiono na nich zasadzkę, i strzelcy w nią wpadli. Ale tym razem Bartek nie ujrzał czerwonych czapek, pierzchających po pierwszych strzałach, oddział bowiem składał się ze starych żołnierzy, rozbitków jakiegoś pułku legii zagranicznej. Otoczeni, bronili się zacięcie, a wreszcie rzucili się, by bagnetem ułotować sobie drogę przez opasujący krąg pruskiego żołdactwa. Bronili się z taką zaciętością, że część ich przebiła się przez wojska, szczególnie zaś nie

<sup>1)</sup> Polski wół (niem.)

<sup>2)</sup> Niemiec (niem.)



dawali się brać żywcem, wiedząc, jaki los czeka pochwyconych wolnych strzelców. Kompania, w której służył Bartek, pochwyliła też dwu tylko jeńców. Wieczorem umieszczono ich w izbie, w domu leśnika. Nazajutrz mieli być rozstrzelani. Straż kilku żołnierzy stanęła przy drzwiach, Bartka zaś postawiono w izbie pod wybitym oknem, razem ze związanymi jeńcami.

Jeden z jeńców był to człowiek niemłody, z siwiejącymi wasami i twarzą obojętną na wszystko; drugi wyglądał na dwadzieścia kilka lat: jasne wąsy zaledwie sypały mu się na twarzy, podobniejszej do twarzy panny, niż żołnierza.

— Ot i koniec — rzekł po chwili młodszy — kula w łeb i koniec!

Bartek drgnął, aż karabin zadźwięczał mu w rękę: młody chłopak mówił po polsku...

— Mnie tam już wszystko jedno — odrzekł zniechęconym głosem drugi — dalibóg, wszystko jedno. Nateralem się już tyle, że mam dosyć...

Bartkowi serce biło pod mundurem coraz żywiej...

— Słuchaj-no — mówił dalej stary — niema rady. Jeśli się boisz, to myśl o czem innem, albo się połóż spać. Życie jest podłe! Jak mi Bóg miły, tak wszystko jedno.

— Matki mi żal! — odparł głucho młodszy.

I widocznie chcąc stłumić wzruszenie, lub oszukać samego siebie, począł gwizdać. Nagle przerwał i zawołał z głęboką rozpaczą:

— Niechże mnie piorun trzaśnie! Nawetem się nie pożegnał!

— Toś uciekł z domu?

— Tak. Myślałem: pobiją Niemców, będzie Poznańczykom lepiej.

— I ja tak myślałem. A teraz...

Stary kiwnął ręką i dokończył coś z cicha, ale resztę jego słów zgłuszył szum wiatru. Noc była zimna. Drobny deszcz zaciął od czasu do czasu falami, poblizki las czarny był, jak kir<sup>1)</sup>. W izbie wicher świstał po kątach i wyl w kominie, jak pies. Lampa, umieszczona wysoko nad oknem, aby jej wiatr nie zgasił, rzuciła sporo migotliwego światła na izbę, ale stojący pod nią tuż przy oknie Bartek pogrążony był w ciemności.

I może lepiej, że jeńcy nie widzieli jego twarzy. Z chłopem działy się dziwne rzeczy. Z początku ogarnęło go zdziwienie, i wytrzeszczał na jeńców oczy i starał się zrozumieć, co mówią. Toż oni przyszli bić Niemców, żeby Poznańczykom było lepiej, a on bił Francuzów, żeby Poznańczykom było lepiej! I tych dwóch jutro rozstrzelają! Co to jest? Co on biedak ma o tem myśleć? A żeby się tak ozwał do nich? Żeby im powiedział, że on swój człowiek, że mu ich żal. Nagle złapało go coś za gardło. I co on im powie? czy ich wyratuje? To i jego rozstrzelają! Hej, rety! co się z nim dzieje? Żal go tak dusi, że nie może ustać na miejscu.

Jakaś straszna tęsknota nadlatuje na niego, aż het gdzieś z Pognębina. Nieznany gość w żołdackiem sercu, litość, krzyczy mu w duszy: »Bart-

<sup>1)</sup> Kir — czarne, żałobne sukno

ku! ratuj swoich, to swoich — a serce wyrywa się do domu, do Magdy, do Pognębina, i tak się rwie, jak nigdy przedtem. Dosyć mu tej Francyi, tej wojny i bitew! Coraz wyraźniej słyszy głos: »Bartku, ratuj swoich!« Ażebym ta wojna pod ziemię się zapadła! Przez wybite okno czernieje las i szumi jako pognębińskie sosny, a w tym szumie woła coś znowu:

»Bartku, ratuj swoich!«

Cóż on zrobi?

Ucieknie z nimi do lasu, czy co? Wszystko, co tylko pruska dyscyplina zdołała w niego wszczepić, odrazu wzdryga się na tę myśl... W Imię Ojca i Syna! Tylko się przed nią przeżegnać. On, żołnierz, ma dezertrować? <sup>1)</sup> Nigdy!

Tymczasem las szumi coraz mocniej, i wicher świszcze coraz żałośniej.

Starszy jeniec odzywa się nagle:

— A to wiatr, jakby jesienią u nas...

— Daj mi pokój... — rzecze pognębionym głosem młodszy.

Po chwili jednak powtarza kilkakrotnie:

— U nas, u nas, u nas! O Boże! Boże!

Głębokie westchnienie zlewa się z poświstem, i jeńcy leżą znów cicho.

Bartka poczyna febra trząść.

Najgorzej, gdy sobie człowiek nie zdaje sprawy z tego, co mu jest. Bartek nic nie ukradł, a tak mu się zdawało, jakby co ukradł i jakby się hał, że go złapią. Nic mu nie grozi, a przecie boi się

<sup>1)</sup> *Dezertrować* uciekać z wojska.

czegoś okrutnie. Oto nogi dygocą pod nim, karabin ciąży mu strasznie, i coś go dusi, jakby jaki wielki płacz. Za Magdą, czy za Pognębinem? Za obojgiem, ale i tego młodszego jeńca tak mu żal, że sobie rady dać nie może.

Chwilami zdaje się Bartkowi, że śpi. Tymczasem zawierucha na dworze jeszcze się powiększa. W poświście wiatru mnożą się dziwne wołania i głosy.

Nagle Bartkowi każdy włos staje dębem pod pikielhaubą.

Oto wydaje mu się, że tam gdzieś w ciemnych, mokrych głębiach boru ktoś jęczy i powtarza: »U nas, u nas, u nas!«

Bartek wzdryga się i uderza kolbą w podłogę, by się rozbudzić.

Jakoż przychodzi do przytomności... Ogląda się: jeńcy leżą w kącie, lampa migoce, wiatr wyje, wszystko w porządku.

Światło pada teraz obficie na twarz młodego jeńca. Istna twarz dziecka albo dziewczyny. Ale oczy ma przymknięte, słomę pod głową i wygląda jakby już umarły.

Jak Bartek Bartkiem, nigdy go tak nie nurtował żal. Wyraźnie ścisną go coś za gardło, wyraźnie płacz mu idzie z piersi.

Tymczasem starszy jeniec obraca się z trudnością na bok i mówi:

Dobranoc, Władek...

Następuje cisza. Uplywa godzina, z Bartkiem coś naprawdę źle. Wiatr gra, jak organy pognę-



bińskie. Jeńcy leżą cicho, nagle młodszy podnosi się trochę z wysileniem i woła:

— Karol?

— Co?

— Spisz?

— Nie...

— Słuchaj! Ja się boję... Mów, co chcesz, a ja się będę modlił...

— To się módl!

— Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

Łkanie przerywa nagle słowa młodego jeńca... wszelako słyhać jeszcze przerywany głos:

— Bądź... woła... Twoja!...

— O, Jezul! — wyje coś w piersiach Bartka. — O, Jezul!...

Nie! on już nie wytrzyma dłużej! Chwila jeszcze, a krzyknie: »Paniczul toć ja chłop!...« Potem przez okno... w las... Niech się dzieje, co chce!...

Nagle od strony sieni dają się słyszeć miarowe kroki. To patrol<sup>1)</sup>, a z nim podoficer. Zmieniają strażel

Nazajutrz Bartek od rana był pijany. Następnego dnia także...

Ale w dalszych dniach przyszły nowe pochody, potyczki, marsze... i miło mi oznajmić, że

<sup>1)</sup> Patrol — straż wojskowa.

nasz bohater wrócił do równowagi. Po owej nocy zostało mu tylko trochę zamięłowania do butelki, w której zawsze można znaleźć smak, a czasem i zapomnienie. Zresztą w bitwach bywał jeszcze okrutniejszy, niż dotąd; zwycięstwo szło w jego ślady.

## VI

Znów upłynęło kilka miesięcy. Było już dobrze z wiosny. W Pogonbinie wiśnie w sadzie kwitły i pokryły się bujnym liściem, a na polach zieleśniała ruń<sup>1)</sup> obfita. Pewnego razu Magda, siedząc przed chałupą, obierała na obiad kielkowane kartofle, zdatniejsze dla trzody niż dla ludzi. Ale był to przednówek: bieda zajrzała trochę do Pogonbina. Znać ją było i z twarzy Magdy, poczerwiałej i pełnej frasunku. Może też dla rozpędzenia go kobieta, przymykając oczy, śpiewała ciekim, wytężonym głosem:

Oj, mój Jasińko na wojnie! ojl listy pisze do mnie!

Ojl i ja też do niego -- ojl bom żoneczka jego.

Wróble na czereśniach świergotały, jakby ją pragnęły zagłuszyć, a ona, śpiewając, spoglądała w zamyśleniu to na psa, śpiącego na słońcu, to na drogę, przechodzącą koło chałupy, to na steczkę, idącą od drogi przez ogród i pola. Może i dlatego

<sup>1)</sup> Ruń — młoda zieleń kielkującego zboża.

poglądała Magda na steczkę, że wiodła ona na przelaj<sup>1)</sup> do stacyi, i tak Bóg dał, że tego dnia nie spoglądała na nią napróżno. W dali ukazała się jakaś postać, i kobieta przysłoniła oczy ręką, ale nie mogła nic dojrzeć, bo ją blask ślepił. Łysek tylko rozbudził się, podniósł głowę i, szczerząwszy krótko, począł węszyć, nadstawiając uszu i przekręcając łeb na obie strony. Jednocześnie do uszu Magdy doszły niewyraźne słowa pieśni. Łysek zerwał się naraz i całym pędem skoczył ku zbliżającemu się człowiekowi. Wówczas Magda przybladła trochę.

— Bartek, czy nie Bartek?

Wstała nagle, tak, że aż niecułka<sup>2)</sup> z kartofłami potoczyła się na ziemię; teraz już nie było wątpliwości. Łysek tam skakał aż do piersi przybyłego. Kobieta rzuciła się naprzód, krzyknawszy z całej siły z radości:

— Bartek! Bartek!

— Magda! to ja! — wołał Bartek, przykładając dłoń do ust i przyspieszając kroku.

Otworzył wrota, zawadził o zaworę<sup>3)</sup>, małe nie upadł, aż się zatoczył, i padli sobie w objęcia.

Kobieta zaczęła mówić szybko:

— A ja myślała, że już nie wrócisz... Myślałam: zabili go... Cóż ci? Pokaż się. Niech się na patrz! Bardzo zmizerowany! Oj Jezu! Oj ty kapucanie!... Oj najmilejszy!... Wrócił! wrócił!...

<sup>1)</sup> Na przelaj — w poprzek pola.

<sup>2)</sup> Niecutka — mała niecka.

<sup>3)</sup> Zawora — zasuwka, zapora.

Chwilami odrywała ręce od jego szyi i patrzyła na niego i znów je zarzucała.

— Wrócił! Chwała bądź Bogu... Mój ty Bartczysko kochanel... Cóżes?... Chodź do chałupy... Franek w szkole! Niemczysko trochę dzieciom dopieka. Chłopak zdrow. Ino ślepie na wierzchu ma, jak ty. Oj, czas ci wracać! Bo ani rady. Bieda, mówię: bieda!.. Chałupsko się psuje. Do stodoły bez dach leci. Cóżes? Oj, Bartku! Bartku! Że też ja jeszcze ciało twoje oglądałam! Co ja tu miałam kłopotów z sianem!... Czermieniccy mi pomagali, ale bogać! I cóżes ty? zdrow? Oj raduję ja ci się, raduję! Bóg cię strzegł. Chodź do chałupy. O dla Boga, coś niby Bartek, niby nie Bartek! A tobie co? Rety?

Magda w tej dopiero chwili spostrzegła długą szramę, ciągnącą się przez twarz Bartka, przez lewą skroń, policzek, aż do brody.

— At nic... Kiryser mnie ta pomacał, ale i ja jego też. W szpitalu byłem.

— O Jezu!

— Ej, mucha.

— A chudyś, jak ta śmierć.

— Ruhig!<sup>1)</sup> — odrzekł Bartek.

Był rzeczywiście wychudły, szerniał, obszarpany. Prawdziwy zwycięzca! Przytem chwiał się na nogach.

— Cóżes ty, pijany?

Ti... słabym jeszcze.

Był słaby, to pewno! Ale był i pijany, bo

<sup>1)</sup> Ruhig! cicho! (niem.)



przy jego wycieńczeniu jedna miarka wódki wystarczała, a Bartek na stacyi wypił ich coś cztery. Ale za to miał animusz<sup>1)</sup> i minę prawdziwego zwycięzcy. Takiej miny nigdy przedtem nie miewał.

— *Ruhig!* — powtórzył. — Skończyliśmy *Krieg!*<sup>2)</sup> teraz ja pan, rozumiesz? A to widzisz? — Tu ręką wskazał krzyże i medale. — Wiesz, com za jeden? — *Hę? links! rechts! Heu! Stroh!*<sup>3)</sup> sianol słoma! słoma! siano! *halt!*<sup>4)</sup>

Ostatnie *halt!* wrzasnął tak przeraźliwie, że kobieta odskoczyła o kilka kroków.

— Cóżes ty oszalał?

— Jak się masz, Magda! Kiedy ci mówię: jak się masz, to jak się masz!... A po francusku umiesz, głupia?... *Musiu, musiu!* kto *musiu?* ja *musiu!*<sup>5)</sup> wiesz?

— Człeku, co z tobą jest?

— Tobie co do tego! *Was?*<sup>6)</sup> *done dine?*<sup>7)</sup> rozumiesz?

Na czole Magdy zaczęła się zbierać burza.

— Po jakimu ty bełkoczesz? Cóż to, nie

<sup>1)</sup> *Animusz* — zuchowatość, buta, wesolość.

<sup>2)</sup> *Wojna* (niem.)

<sup>3)</sup> *Lewa!* prawal siano! słoma! (niem. — w wojsku pruskim nie umięjącym odróżnić prawej strony od lewej, przywiązywali do jednej nogi wiązkę słomy, do drugiej zaś — siana).

<sup>4)</sup> *Stój!* (niem.)

<sup>5)</sup> *Musiu* — przekręcony wyraz franc. *monsieur* (pan).

<sup>6)</sup> *Co?* (niem.)

<sup>7)</sup> Przekręcone francuskie zdanie: *donnez diner* (dajcie obiad).

umiesz po polsku? To ci kasztan? Sprawiedliwie mówię! Co z ciebie zrobili!

— Daj mnie jeść!

— Ruszaj do chałupy.

Wszelka komenda robiła na Bartku wrażenie, któremu żadną miarą oprzeć się nie mógł. Usłyszawszy tedy: »ruszaj!« wyprostował się, rękę wyciągnął wzdłuż bioder, i zrobiwszy pół obrotu, pomaszzerował we wskazanym kierunku. Na progu dopiero ochłonął i począł patrzeć na Magdę ze zdumieniem.

— No, co ty Magda? co ty?..

— Ruszaj! Marsz!

Wszedł do chałupy, ale upadł na samym progu. Wódka teraz poczęła mu naprawdę uderzać do głowy. Zaczął śpiewać i oglądać się po chałupie za Frankiem. Powiedział nawet: *Morgen, Kerl!*<sup>1)</sup> — choć Franka nie było. Następnie roześmiał się, dał jeden krok nader wielki, dwa bardzo małe, krzyknął: hurra! i legł jak długi na tapczanie. Wieczorem zbudził się trzeźwy, wypoczęty, przywitał się z Frankiem i, wyprosiwszy u Magdy kilkanaście fenigów, odbył tryumfalny<sup>2)</sup> pochód do karczmy. Sława jego czynów poprzedziła go już w Pognebinie, gdyż niektórzy żołnierze innych kompanii tego samego pułku, wróciwszy wcześniej, opowiadali jego przewagi<sup>3)</sup> pod Gravelotte i Sedanem. Obecnie, gdy się wieść rozeszła, że zwycięzca jest

<sup>1)</sup> *Jak się masz, gałganie* (niem.).

<sup>2)</sup> *Tryumf* — radość z odniesionego zwycięstwa.

<sup>3)</sup> *T. j.* odznaczenia się.

w karczmie, wszyscy dawni towarzysze pośpieszyli go zobaczyć.

Siedzi więc nasz Bartek za stołem, niktby go teraz nie poznał. On, taki dawniej potulny, bije oto pięścią w stół, puszy się, jak indyk, i gulgoce, jak indyk.

— A pamiętacie, chłopcy, jakem tedy Francuzów sprął: co powiedział Steinmiec?

— Co nie mamy pamiętać?

— Gadali za Francuzami, straszili, a to jest mdły naród, *was?* Ony salatę jedzą, jak zające, to i umykają, jak zające. A piwa to ci nie piją, ino dycht wino.

— Juści.

— Jakeśmy palili jaka wieś, to ony ręce składały i zaraz krzyczały: *pitie! pitie!*<sup>1)</sup> to niby znaczy, że dadzą picie, że im co ino daj spokój. Ale śma nie zważali.

— To to można zrozumieć, jak ony szwarogczą? — spytał młody parobczak.

— Ty nie rozumiesz, boś głupi, a ja rozumiem. *Done di pę*<sup>2)</sup>, rozumiesz?

— Co zaś padacie?

— A Paryż widzieliście? Tam ci były batalie jedna za drugą. Ale w każdej pobiliśma. Ony komendy dobrej nie mają. Tak też ludzie mówili. Plot, powiadają, u nich też dobry, ale kolki kiepskie. I oficerzy kiepskie, i generały kiepskie, a z naszej strony dobre.

<sup>1)</sup> Przekręcony wyraz francuski: *pitie* (litość).

<sup>2)</sup> Przekręcone zdanie francuskie: *donnez du pain* (dajcie chleba).

Maciej Kierz, stary, mądry gospodarz z Pogńębina, poczał kiwać głową.

— Oj, wygrały Niemcy straszną wojnę, wygrały, a myśma im pomogli; ale co nam z tego przyjdzie, Bóg jeden wie.

Bartek wytrzeszczał na niego oczy.

— Co gadacie?

— Toż Niemcy i tak nie chcieli nas szanować, a teraz to ci nosy pozadzierały, jakby i Boga już nad nimi nie było. I będą jeszcze gorzej nas poniewierać, albo już poniewierają.

— A nieprawda! — rzekł Bartek.

W Pogńębinie stary Kierz miał taką powagę, że cała wieś myślała wedle jego głowy, i zuchwałstwem było mu przeczyć, ale Bartek był teraz zwycięzcą i sam powagą.

Wszelako oni spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a nawet z pewnem oburzeniem.

— Cóż ty z Maciejem będziesz się spierał?.. Cóż ty?..

— Co mi ta Maciej! Ja nie z takimi gadałem, rozumita! Chłopcy, czy nie gadałem ze Steinmiecem? *was?* A kiej Maciej zmyśla, to zmyśla. Tera nam będzie lepiej.

Maciej popatrzał chwilę na zwycięzcę.

— Oj, ty głupi! — rzekł.

Bartek uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły wszystkie kieliszki i kufle.

— *Still der Kerl da! Heu, Strohl!*<sup>1)</sup>..

<sup>1)</sup> Cicho tam, gałganiel Siano! słoma! (niem.)



— Cicho, nie wrzeszcz! Spytaj się, głupi, jegomości, albo i pana.

— Albo jegomość na wojnie był? albo pan był? A ja byłem. Nie wierzą, chłopcy. Tera ci nas zacząną szanować. Kto batalię wygrał? Myśma wygrali. Ja wygrałem. Tera o co ci poproszę, to dadzą. Bym chciał dziedzicem we Francyi ostać, to ostanę. Rząd dobrze wie, kto najlepiej prał Francuzów. A nasze pułki były najlepsze. Tak pisało w rozkazach. Tera Polaki górą — rozumiała?

Kierz machnął ręką, wstał i poszedł. Bartek i na polu politycznem odniósł zwycięstwo. Młodzie, którzy z nim zostali, patrzali teraz w niego, jak w tęczę. On mówił:

— A ja czegobym nie chciał, to dadzą. Żeby nie ja, to no! Stary Kierz jest kiep: rozumiała. Rząd każe bić, to bić! Kto mnie będzie poniewierał? Niemiec? A to co?

Tu znów pokazał krzyże i medale.

— A za kogo prałem Francuzów? Nie za Niemców, co? Ja tera lepszy jak Niemiec, bo żaden Niemiec niema tyle tego. Piwa dajta! Ze Steinerem mecem gadałem i z Podbielskim gadałem. Piwa dajta!

Zwolna zabierało się na pijatykę. Bartek począł śpiewać:

»Trink, trink, trink!  
Wenn in meiner Tasche  
Noch ein Thaler klinget...!»

1) Pij! pij! pij! póki w mej kieszeni choć jeden talar (niem.)

Nagle wydobyl z kieszeni garść fenigów.

— Bierzta! ja teraz pan... Nie chceta? Oj, nie takich my pieniędzy we Francyi nabrali, ino że poszło. Mało to my nie napalili, ludzi nabilil... Bóg wie nie kogo... francirerów 1)...

Humor ludzi pijanych miewa nagłe zmiany. Nadspodziewanie Bartek zgarnął pieniądze ze stołu i począł wołać żałośnie:

— Boże! bądź miłościw grzesznej duszy mojej!

Następnie podparł się obu łokciami na stole, głowę ukrył w łapy, i milczał.

— Co ci jest? — spytał któryś z pijanych.

— Com im winien? — mruknął ponuro Bartek. — Sami leźli! Ino mi ich żal było, bo swojaki oba. Boże, bądź miłościwi! Jeden był, jak ta zorza rumiana. Nazajutrz to ci był blady, jak chusta. A potem to ci ich jeszcze żywych przysypali... Wódki!

Nastala chwila posępnej ciszy. Chłopi spoglądali jeden na drugiego ze zdziwieniem.

— Co on prawi? — spytał któryś.

— Ze sumieniem cości gada

— Bez tę wojnę człowiek pije — mruknął Bartek.

Napił się wódki raz i drugi. Chwilę posiedział w milczeniu, potem splunął, i niespodzianie wrócił mu dobry humor.

1) Przekręcony wyraz francuski: *franc-tireur* (wolny strzelec).

— A wyśta gadali ze Steinmecem?... A ja gadałem! Hurra! Pijta. Kto płaci? Ja!

— Ty płacisz, i ku, ty! — ozwał się głos Magdy. — Ale i ja ci zapłacę, nie bój się!

Bartek popatrzał na przybyłą kobietę szklanemi oczyma.

— A ze Steinmecem gadałaś? coś za jedna?

Magda, zamiast mu odpowiedzieć, zwróciła się do czułych słuchaczów i poczęła lamentować:

— Oj, ludzie, ludzie, widziła mój srom i moją niedolę? Wrócił, ucieszyłam się, jak komu dobremu, a on wrócił pijany. I Boga zapomniał, i po polsku zapomniał. Położył się spać, wytrzeźwiał, a teraz znowu pije, i moją pracą, moim potem płaci. A skądś wziął tych pieniędzy? Nie mój-że to starunek, nie moja krwawica? co? Oj, ludzie, ludzie, nie katolik to już, nie człowiek, to je Niemiec opętany, co po niemiecku szwargoce i na krzywdę ludzką dybie. To jest odmieniec, to jest... /

Tu kobieta załżała się łzami, następnie podniosła głos o oktawę wyżej:

— Głupi był, ale dobry; ale teraz co z niego zrobili? Czekałam-ci go wieczór, czekałam i rano, i doczekałam się. Znikąd pociechy, znikąd zmiłowania! Boże mocny! Boże cierpliwy!... Żebyś ty skołowaciał, żebyś do reszty Niemcem ostal!

Ostatnie słowa skończyła tak żałośnie, że prawie śpiewając. A Bartek na to:

— Cichoj, bo cię lunę!

— Bij, utnij głowę, utnij zaraz, zabij, zamorduj! — woła natarczywie kobieta i, wyciągnąwszy szyję, zwróciła się do chłopów:

— A wy, ludzie, patrzajta!

Ale chłopci poczęli się wynosić. Wkrótce karczma opustoszała; został tylko Bartek i baba z wyciągniętą szyją.

— Cóż tę ichawicę wyciągasz, jak gęś — mruknął Bartek. — Chodź do chałupy.

— Utnij! — powtarzała Magda.

— Oto, że nie utnę — odparł Bartek i wsadził ręce w kieszenie.

Tu karczmarz, chcąc położyć koniec zajściu, zgasił jedyną świecę. Zrobiło się ciemno i cicho. Po chwili w ciemności rozległ się piskliwy głos Magdy:

— Utnij!

— Oto, że nie utnę — odparł tryumfalny głos Bartka.

Przy świetle księżycy widać było dwie postacie, idące od karczmy ku chałupom. Jedna z nich, idąca naprzód, lamentowała głośno: to była Magda; za nią, ze spuszczoną głową, postępował dość pokornie zwycięzca z pod Gravelotte i Sedanu.

## VII.

Bartek wrócił jednak tak osłabiony, że przez kilka dni nie mógł pracować. Było to wielkie nieszczęście dla całego gospodarstwa, które na gwałt potrzebowało męskiej ręki. Magda radziła sobie, jak umiała. Pracowała od ranka do nocy; sąsiedzi Czemierniccy pomagali jej, jak mogli, ale swoją



drogą wszystko to nie wystarczało, i gospodarstwo szło potrochu w ruinę. Było też już i nieco długów, zaciągniętych u kolonisty Justa, Niemca, który w Pognębinie zakupił był w swoim czasie u dworu kilkanaście morgów nieużytku, a teraz miał najlepsze w całej wsi gospodarstwo i gotówkę, którą wypożyczał na dość wysokie procenty. Wypożyczał przedewszystkiem dziedzicowi, p. Jarzyńskiemu, którego nazwisko jarzyło się w »Złotej księdze«<sup>1)</sup>, ale który dlatego właśnie musiał podtrzymywać splendor<sup>2)</sup> domu na odpowiedniej stopie; wypożyczał jednak Just i chłopom. Magda winna mu była od pół roku kilkadziesiąt talarów<sup>3)</sup>, które częścią włożyła w gospodarstwo, częścią posyłała w czasie wojny Bartkowi. Byłoby to jednak nie-Bóg dał dobre urodzaje, i z przyszłych plonów można było dług spłacić, byle rąk i pracy przyłożyć. Na nieszczęście Bartek pracować nie mógł. Magda nie bardzo chciała temu wierzyć i chodziła do proboszcza na narady, jakby chłopą rozruszać, a on rzeczywiście nie mógł. Brakło mu oddechu, gdy się cokolwiek strudził, i krzyże go bolały. Siadywał więc po całych dniach przed chalupą, palił porcelanową fajkę z wyobrażeniem Bismarka w białym mundurze i kirasyerskim hełmie na głowie, i spoglądał na świat zmęczonem, sennem okiem człowieka, z którego kości trud jeszcze nie wyszedł. Rozmyślał przytem trochę o wojnie, tro-

1) T. j. w spisie rodów szlacheckich.

2) *Splendor* — blask, chwala.

3) *Talar* — moneta niemiecka (= około rubla).

chę o zwycięstwach, o Magdzie, trochę o wszystkim, trochę o niczem.

Raz gdy tak siedział, usłyszał zdala płacz Franka.

Franek wracał ze szkoły i beczał, aż się rozlegało.

Bartek wyjął z ust fajkę.

— No, ty Francl co ci jest?

— Ale, co ci jest?... — powtórzył szlochając Franek.

— Czego beczysz?

— Ale co nie mam beczyć, kiedym dostał po pysku...

— Kto ci dał po pysku?

— Kto, jak nie pan Boegel

Pan Boege pełnił obowiązki nauczyciela w Pognębinie.

— A on co ma za prawo bić cię po pysku?

— Juści ma, bo dał.

Magda, która okopywała w ogrodzie, przeleżała przez płot i z motyką w ręku zbliżyła się do dziecka.

— Cóżś sprawił? — spytała.

— Com miał sprawić? Jenó Boege nawymyślał mi od polskich świń i dał mnie w pysk, i powiedział, że jak teraz Francuzów zwojowały, to nas będą nogami kopać, bo ony najmocniejsze. A ja jemu nic nie zrobiłem, jeno on się pytał, jaka jest największa osoba na świecie, a ja powiedziałem, że Ojciec Święty, a on mi dał w pysk, a ja zacząłem krzyzczeć, a on nawymyślał mi od pol-

skich świi i powiedział, że jak teraz Francuzów zwojowały...

Franek począł powtarzać wkółko: »a on powiedział, a ja powiedziałem«; wreszcie Magda zakryła mu twarz ręką, a sama, zwróciwszy się do Bartka, zaczęła wołać:

— Słyszysz! Słyszysz!... Idź ty, wojuj Francuzów, a niech ci dziecko potem Niemiec tłucze, jak tego psal niech mu wymyśla!... Idź ty, wojuj... niech ci Szwab dziecko zabija: masz nagrodę... niech ci plucha...

Tu Magda, rozczulona własną wymową, zaczęła także płakać do wtóru z Frankiem, a Bartek wytrzeszczył oczy, otworzył gębę i zdumiał, zdumiał tak, iż słowa nie mógł przemówić, a przedewszystkiem zrozumieć tego, co się stało? Jakto? A jego zwycięstwa?... Siedział jeszcze chwilę w milczeniu, nagle błysło mu coś w oczach, krew rzuciła się do twarzy. Zdumienie, równie jak przestach, częstokroć u prostaczków przechodzi we wściekłość. Bartek zerwał się nagle i wyrzucił przez zaciśnięte zęby:

— Ja się z nim rozmówię.

I poszedł. Niedaleko było. Szkoła leżała tuż za kościołem. Pan Boege stał właśnie przed ganikiem, otoczony gromadką prosiąt, między które rozrzucał kawałki chleba.

Był to rosły człowiek, lat około pięćdziesięciu, krzepki jeszcze jak dąb. Nie był zbyt tłusty, twarz tylko miał bardzo tłustą, a w tej twarzy pływały duże rybie oczy, z wyrazem śmiałości i energii.

Bartek przystąpił do niego bardzo blisko.

— Za co ty mi, Niemcze, dziecko bijesz? was? — spytał.

Pan Boege odstąpił od niego kilka kroków, zmierzył go oczyma bez cienia bojaźni i rzekł z flegmą:

— Won, polska »turnia«!

— Za co dziecko bijesz? — powtórzył Bartek.

— Ja i ciebie bić, polska »chama«! Teraz my wam pokażemy, kto tu pan. Idź do dyabel, idź na skargę do sąd... precz!

Bartek, schwyciwszy nauczyciela za ramię, począł potrząsać nim silnie, wołając chrapliwym głosem:

— Wiesz, com za jeden? wiesz, kto Francuzów spral? wiesz, kto ze Steinmecem gadał? Za co dziecko bijesz, szwabska plucho?

Rybie oczy pana Boege wylazły na wierzch, niegorzej Bartkowych, ale pan Boege był silny człowiek i postanowił jednym zamachem uwolnić się od napastnika.

Zamach ten ozwał się potężnym policzkiem na twarzy zwycięzcy z pod Gravelotte i Sedanu. Wtedy chłop stracił pamięć. Głowa Boegego wstrząsnęła się dwoma nagłymi ruchami, przypominającymi ruch wahadła, z tą różnicą, że wstrząśnienia były przerażająco szybkie. W Bartku znów zbudził się straszliwy pogromca turkosów i żuawów. Napróżno dwudziestoletni Oskar, syn Boegego, chłop równie silny jak ojciec, pośpieszył mu z pomocą. Zawzięta się walka krótka, straszna, w której syn padł na ziemię, a ojciec uczuł się wynie-



ślonym w powietrze. Bartek, wyciągnawszy ręce do góry, niósł go, sam nie wiedząc dokąd. Na nie-szczęście pod chałupą stała beczka z pomyjami, skrętnie zlewanemi dla świń przez panią Boegową, i oto bulknęło w beczce, a po chwili widać z niej było sterczące nogi Boegego i poruszające się gwałtownie. Boegowa wypadła z domu:

— Pomocy! ratunku!

Z pobliskich domów koloniści pośpieszyli na pomoc sąsiadom.

Kilkunastu Niemców rzuciło się na Bartka i poczęli okładać go to kijami, to pięściami. Powstało ogólne zamieszanie, w którym trudno było odróżnić Bartka od wrogów; kilkanaście ciał zbito się w jedną masę, poruszającą się konwulsyjnie.

Nagle jednak z masy walczących wypadł, jak szalony, Bartek, dążąc co sił do płotu.

Niemcy skoczyli za nim, jednocześnie jednak dał się słyszeć przeraźliwy trzask płotu, i w tejże chwili potężna żerdź zakolysała się w żelaznych łapach Bartka.

Odwrócił się zapieniony, wściekły, wznosił ręce z żerdzią do góry: pierzchli wszyscy.

Bartek sunął za nimi.

Szczęściem nie dogonił nikogo. Przez ten czas ochłonął i począł rejterować<sup>1)</sup> ku domowi. Ach! gdyby miał przed sobą Francuzów! Odwrót ten unieśmiertelniałaby historia.

Było tak: napastujący w liczbie blisko dwudziestu ludzi, zebrawszy się, nacierali na nowo na

<sup>1)</sup> Rejterować uciekać.

Bartka. On cofał się z wolna, jak odynieć party przez psiarnię. Chwilami odwracał się i zatrzymywał, a wtedy zatrzymywali się i goniący. Żerdź przejmowała ich zupełnym szacunkiem.

Ciskali jednak kamieniami, jeden z tych kamieni zranił Bartka w czoło. Krew zalewała mu oczy. Czuł, że słabnie. Zachwiał się raz i drugi na nogach, opuścił żerdź i upadł.

— Hurra! — krzyknęli koloniści.

Ale nim dobiegł, Bartek podniósł się znowu. To ich wstrzymało. Ten ranny wilk mógł jeszcze być niebezpieczny. Zresztą było to już niedaleko pierwszych chałup, i zdawało się, że już było kilku parobków, pędzących co siły na plac potyczki. Koloniści cofnęli się do domów.

— Co się stało? — pytali nadbiegłi.

— Niemców krzyne pomacałem — odpowiedział Bartek.

I zemdłał.

## VIII.

Sprawa stała się groźną. Gazety niemieckie umieściły nader wzruszające artykuły o prześladowaniach, jakich doznaje spokojna ludność niemiecka od barbarzyńskiej i ciemnej masy, podniecanej przez anti-państwowe<sup>1)</sup> agitacje<sup>2)</sup> i fana-

<sup>1)</sup> Anti-państwowy — przeciw państwowi, buntowniczy.

<sup>2)</sup> Agitacja — zjednywanie sobie zwolenników jakiejś sprawy; podburzanie.

tyzm <sup>1)</sup> religijny. Boege stał się bohaterem. On, nauczyciel, cichy i łagodny, krzewiący oświatę na dalekich krańcach państwa; on, prawdziwy misjonarz kultury wśród barbarzyńców, pierwszy padł ofiarą rozruchu. Szczęściem, że za nim stoi sto milionów Niemców, którzy nie pozwolą, aby i t. d.

Bartek nie wiedział, jaka burza zbiera się nad jego głową. Owszem, był dobrej myśli. Był pewny, że w sądzie wygra. Przecie Boege mu dziecko pobił i jego pierwszy uderzył, a potem tyłu na niego napadł! Musiał się przecie bronić. Rozbili mu jeszcze głowę kamieniem. I komu? jemu, którego wymieniały rozkazy dzienne, jemu, który »wygrał« bitwę pod Gravelotte, który gadał z samym Steinmecem, który miał tyle krzyżów! Nie mieściło mu się to wprawdzie w głowie, jak Niemcy mogli o tem wszystkim nie wiedzieć i tak go pokrzywdzić, również jak nie mieściło mu się i to, jak Boege mógł obiecywać Pognębińcom, że ich teraz Niemcy będą nogami kopali za to, że oni, Pognębińcy, tak dzielnie bili Francuzów, ilekroć była sposobność. Ale co do siebie, był pewny, że sąd i rząd ujmą się za nim. Tam przecie będą wiedzieli, co on za jeden i co on na wojnie robił. Choćby nie kto inny, to Steinmec ujmie się za nim. Przecie Bartek przez tę wojnę i zbiedniał, i chałupę zadłużył, toć przecie nie odmówią mu sprawiedliwości.

Tymczasem do Pognębina przyjechali po Bartka żandarmi. Spodziewali się widzieć straszno opor-

<sup>1)</sup> Fanatyzm — zagorzałość, zaślepienie.

bo przyjechało ich aż pięciu z nabitymi karabinami. Mylili się. Bartek o oporze nie myślał. Kazali mu na bryczkę siąść: usiadł. Magda desperowała tylko i powtarzała uparcie:

— Oj, trzebaż ci było tych Francuzów tak wojować? Maszże teraz, biedaku, masz.

— Cichoj, głupia! — odpowiadał Bartek i uśmiechał się po drodze dość wesoło do przechodzących.

— Ja im pokażę, kogo skrzywdzili! — wołał z bryczki.

I ze swymi krzyżami na piersiach jechał jak tryumfator do sądu.

Jakoż sąd okazał się na niego łaskawy. Zgodzono się na istnienie okoliczności łagodzących. Bartek osobiście skazany został tylko na trzy miesiące więzienia.

Prócz tego skazano go na zapłacenie stu pięćdziesięciu marek <sup>2)</sup> tytułem wynagrodzenia rodzinie Boegego i innym »obrażonym na ciele kolonistom«.

»Zbrodniarz wszelako — pisała w sprawozdaniu sądowym *Posener Zeitung* — nietylko po odczytaniu mu wyroku nie okazał najmniejszej skruchy, ale wybuchnął tak grubijańskimi słowami i tak bezczelnie począł wyrzucać państwu swoje rzekome usługi, iż dziwić się tylko należy, że obelgi względem sądu i względem niemieckiego plemienia...«

Tymczasem Bartek rozpamiętywał w kozie

<sup>2)</sup> Marka — moneta pruska 50 kop.) (= około



spokojnie swoje czyny pod Gravelotte, Sedanem i Paryżem.

Popelnilibyśmy jednak niesprawiedliwość, twierdząc, że i postępek p. Boegego nie wywołał żadnej publicznej nagany. Owszem, owszem. Pewnego dżdżystego poranku jakiś poseł polski bardzo wymownie dowodził, jak zmieniło się postępowanie z Polakami w Poznańskim, jak za męstwo i ofiary, poniesione przez poznańskie pułki w czasie wojny, należałoby dbać więcej o prawa ludzkości w poznańskiej prowincyi; jak nakoniec p. Boege z Pognębina nadużywał swej pozycji nauczyciela, bijąc polskie dzieci, nazywając je polskimi świniami i obiecując, że po takiej wojnie napływowa ludność będzie kopała nogami aborygenów<sup>1)</sup>.

I gdy tak poseł mówił, deszcz sobie padał, a ponieważ takiego dnia senność ludzi ogarnia, więc ziewali konserwatyści, ziewali national-liberalni<sup>2)</sup> i socjaliści, ziewało i centrum<sup>3)</sup>, bo było to jeszcze przed walką kulturalną<sup>4)</sup>.

Wreszcie nad tą »polską skargą« Izba przeszła do porządku dziennego.

Bartek tymczasem siedział w kozie, a raczej leżał w szpitalu więziennym, bo od uderzenia ka-

<sup>1)</sup> *Aborigeni* — tubylcy, pierwotni mieszkańcy kraju.

<sup>2)</sup> Partya narodowo-postępowa w parlamencie niemieckim.

<sup>3)</sup> Partya katolicka, zasiadają centrum, t. j. środkowe ławy.

<sup>4)</sup> Walka kulturalna (*Kulturkampf*) — walka, którą podjął Bismarck przeciw katolikom (1873—1883).

mieniem otworzyła mu się rana, którą na wojnie otrzymał.

Gdy nie miał gorączki, myślał, myślał, jak ów indyk, który zdechł od myślenia. Ale Bartek nie zdechł, tylko nic nie wymyślił.

Czasem jednakże w chwilach, które nauka zwie *lucida intervalla*<sup>1)</sup>, przychodziło mu do głowy, że może niepotrzebnie tak »prać« Francuzów.

Na Magdę za to nadeszły ciężkie godziny. Trzeba było zapłacić karę: nie było skąd wziąć. Ksiądz pognębiński chciał pomódz, ale pokazało się, że w kasie nie miał całych czterdziestu marek. Biedna to była parafia ten Pognębin, a zresztą staruszek nigdy nie wiedział, jak mu się pieniądze rozchodzą. Pana Jarzyńskiego nie było w domu. Mówili, że pojechał w konkury do jakiejś bogatej panny do Królestwa.

Magda nie wiedziała, co ma począć.

O przedłużeniu terminu nie było co i myśleć. Cóż więc? Sprzedać konie, krowy? I tak był przednówek, czas najcięższy. Żniwo się zbliżało, gospodarka wymagała pieniędzy, a wyczerpały się już wszystkie. Kobieta ręce łamała z rozpacz. Podała kilka prośb o zmiłowanie do sądu, wymieniając zasługi Bartka. Nie otrzymała nawet odpowiedzi. Termin się zbliżał, a z nim i sekwestr<sup>2)</sup>.

Modliła się i modliła, wspominając gorzko dawne czasy przed wojną, gdy byli zamożni, i gdy

<sup>1)</sup> Chwile przeblýsku świadomości u gorączkujących, obłąkanych i t. p. (łac.)

<sup>2)</sup> Zajęcie majątku przez rząd dla ściągnięcia należności.

Bartek zimną jeszcze w fabryce zarabiał. Poszła do kumów pożyczyć pieniędzy: nie mieli. Wojna wszystkim dała się we znaki. Do Justa nie śmiała iść, bo i tak była mu winna, a nie płaciła nawet procentów. Tymczasem Just niespodzianie sam przyszedł do niej.

Pewnego popołudnia siedziała na progu chaty i nie robiła nic, bo ją siły z rozpaczny odeszły. Patrzała przed siebie, na goniące się po powietrzu muszki złote, i myślała: »Jakie to ono robactwo szczęśliwe, buja sobie i nie płaci i t. d.« Czasem wzdychała ciężko, lub z jej pobladłych ust wyrwało się ciche wezwanie: »O Boże! Boże!« Nagle przed wrotami pokazał się spuszczone nos Justa, pod którym widać było spuszczoną fajkę: kobieta pobladła. Just ozwał się:

— *Morgen!*<sup>1)</sup>

— Jak się macie, panie Just!

— A moje pieniądze?

— O mój złocienki panie Just, bądźcie cierpliwi! Ja biedna, co ja zrobić? Chłopa mi wzięli, karę za niego płacić muszę, rady sobie dać nie mogę. Lepiejbym zmarła, niż się mam tak męczyć z dnia na dzień. Poczekajcie, mój złocienki panie Just!

Rozpłakała się, i schyliwszy się, ucałowała pokornie tłustą, czerwoną rękę pana Justa.

— Pan przyjedzie, to od niego pożyczę, a wam oddam.

— No, a sztraf<sup>2)</sup> z czego zapłacicie?

<sup>1)</sup> Dzień dobry! (niem.).

<sup>2)</sup> Kara.

— Czy ja wiem? Chyba krowinę sprzedam

— To ja wam pożyczę jeszcze.

— Niech panu Pan Bóg zapłaci, mój złoty panie. Pan, choć luter, ale dobry człowiek. Sprawiedliwie mówię! Żeby inne Niemcy były jak pan, toby ich człowiek błogosławił.

— Ale ja bez procentu nie dam.

— Ja wiem, ja wiem.

— To mi napiszecie jeden kwit na wszystko.

— Dobrze, złoty panie. Bóg panu zapłaci i tak.

— Będę w mieście, to sporządzimy akt.

Był w mieście i sporządził akt, ale poprzednio Magda poszła radzić się proboszcza. Co tu jednak było radzić? Ksiądz mówił, że termin za krótki, że procenty za wysokie, i biadał bardzo, że p. Jarzyńskiego w domu niema, bo, gdyby był, toby może pomógł. Nie mogła jednak Magda czekać, aż jej sprzedadzą sprzężaj, i musiała przyjąć warunki Justowe. Zaciągnęła trzysta marek długu, to jest dwa razy tyle, ile wynosił »sztraf«, boć przecie trzeba było mieć w domu jaki grosz na prowadzenie gospodarstwa. Bartek, który dla ważności aktu obowiązany był stwierdzić go własnym podpisem, podpisał. Magda w tym celu umyślnie chodziła do niego do »karceresu«<sup>1)</sup>. Zwyczajca bardzo był pognębiony, przybity i chory. Chciał on jeszcze pisać skargę i przedstawić swoje krzywdy, ale skargi nie przyjęto. Artykuły *Posener Zeitung* nader nieprzychylnie usposobiły dla niego opinię sfer rządowych. Czyż bowiem władze owe nie powinny

<sup>1)</sup> *Karceres* — areszt; tutaj: więzienie.



były rozciągnąć opieki nad spokojną ludnością niemiecką, »która w ostatniej wojnie tyle złożyła dowodów miłości dla ojczyzny i poświęcenia?« Słusznie więc odrzucono skargę Bartka. Ale nie dziw, że go to pognębiło ostatecznie.

— Już my teraz przepadniemy z kretešem — rzekł do żony.

— Z kretešem — powtórzyła.

Bartek począł namyślać się nad czemś usilnie.

— Krzywda mi się dzieje okrutna — rzekł.

— Chłopca Boege prześladowuje — mówiła Magda. — Chodziłam go prosić, jeszcze mi nawymyślał. Oj! teraz w Pognębinie Niemcy górą. Ony się teraz nikogo nie boją.

— Pewno, że ony najmocniejsze — rzekł smutno Bartek.

— Jać prosta jestem kobieta, ale to ci powiem: mocniejszy jest Bóg.

— W nim ucieczka nasza — dodał Bartek.

Chwilę milczeli oboje, potem znowu spytał:

— No, a co Just?

— Żeby Bóg najwyższy dał urodzaj, to może go jakoś zapłaciwa. Może też i pan nam dopomoże, chociaż on sam ma długi u Niemców. Jeszcze przed wojną mówili, że musi Pognębin sprzedać. Chyba, że bogatą pannę weźmie.

— A prędko on wróci?

— Kto go wie? We dworze prawią, że niezadługo już z żoną przyjedzie. Niemcy go przycisną, jak wróci. Zawdy te Niemcy! Dyć to lezie, jak robactwo! Gdzie się obejrzysz, gdzie się niedo-

patrzysz, czy na wsi, czy w mieście — Niemcy, za grzechy chyba naszel! A ratunku znikąd!

— Może też co uradzisz, tyś przecie mądra kobieta.

— Co ja zradzę, co? Czy to ja po dobrej woli brała od Justa pieniądze? Na dobrą sprawę, toć ta chalupina, w której siedzimy, i też grunt, to już jego. Just lepszy Niemiec od innych, ale on też swoje dobro, nie cudze, ma na oku. Nie pofolguje on, jak innym nie pofolgował. Czy ja taka głupia, czy ja nie wiem, po co on mi wtyka pieniądze! Ale co zrobić! co zrobić! — mówiła, łamiąc ręce. — Radź ty, kiedyś mądry. Francuzów umiałeś bić, a co poczniesz, jak ci dachu nad głową nie stanie, albo łyżki strawy do gęby?

Zwycięzca z pod Gravelotte uchwycił się za głowę.

— O Jezu, Jezu!

Magda miała dobre serce: wzruszył ją ten ból Bartkowy, więc rzekła zaraz:

— Cichoj, chłopiel! cichoj! nie łap się za łeb, skoro ci się jeszcze nie zgoił. Byle Bóg urodzaj dał! Żytko ci takie śliczniutkie, że aż się ziemię chce całować; pszenica też. Ziemia nie Niemiec, nie ukrzywdzi. Choć to i bez twoją wojnę kiepsko koło roli zrobione, to ci tak rośnie, że a!

Pocziwa Magda uśmiechnęła się przez łzy.

— Ziemia nie Niemiec... — powtórzyła raz jeszcze.

Magda! — rzekł Bartek, patrząc na nią swemi wylupiastemi oczyma. — Magda!

— Czego?

— A bo tyś jest... niby...

Bartek czuł dla niej wdzięczność wielką, ale nie umiał tego wyrazić.

## IX.

Magda naprawdę była tyle warta, ile dziesięć gorszych od niej kobiet. Trzymała trochę krótko swego Bartka, ale przywiązana była do niego prawdziwie. W chwilach uniesienia, jako naprzykład w onczas w karczmie, mówiła mu w oczy, że głupi, ale zwyczajnie wołała wszelako, by ludzie inaczej myśleli: »Mój Bartek głupiego udaje, a on je chytry« — mawiała nieraz. Tymczasem Bartek był tak chytry, jak jego koń, i bez Magdy nie dałby sobie rady ani w gospodarstwie, ani w niczem. Teraz oto wszystko było na jej pocziwej głowie, i jak zaczęła dreptać, zabiegać, chodzić, prosić, tak i wyprosiła ratunek. W tydzień po ostatnich odwiedzinach w więziennym szpitalu, wpadła znowu do Bartka, zadyszana, rozpromieniona, szczęśliwa.

— Jak się masz, Bartek, kasztanie! — zawołała z radością. — Wiesz, przyjechał pan! Ożenił ci się w Królestwie; młoda pani dycht jagódka. A nabrał ci też za nią wszelakiego dobra, ojl ojl...

Dziedzic Pognębina ożenił się rzeczywiście, zjechał z żoną na miejsce i rzeczywiście nabrał za nią sporo »wzelakiego dobra«.

— No, i co z tego? — spytał Bartek.

— Cicho, głupil — odrzekła Magda. — O, tom się zadyszała! O Jezul.. Poszłam się pani pokłonić,

patrzę: wyszła do mnie, jak królewna jaka, młodziusienka, kiej łośki kwiateczek, śliczniuchna, jak ta zorza... A to upał! a tom się zadyszała!..

Magda podniosła fartuch i poczęła obcierać twarz spoconą. Po chwili mówiła znów przerywanym głosem:~

— Suknię-ci miała, jak ten chaber niebiesiuchną... Podjęłam ją pod nogi, i rączkę mi dała... pocałowałam, a rączki to ci ma pachnące i maluskie, jak u dzieckal... Dycht jaka święta na obrazku, i dobra jest i wyrozumiała na biedę ludzką. Poczęłam ją prosić o poratowanie... Żeby jej Bóg dał zdrowiel... A ona powiada: »Co w mojej mocy, powiada, to zrobię«. A głosik to ci ma taki, że jak przemówi, to cię aż słodkość ogarnie. Tak dopiero ja poczęłam prawić, jaki to w Pognębynie naród nieszczęśliwy, a ona powiada: »Ej, nietylko w Pognębynie...« i dopiero ja się rozbeczałam, i ona też. Aż pan nadszedł, zobaczył, że ona płacze, i jak ją weźmie całować gęba nie gęba, oczko nie oczko. Panowie nie takie jak wy! Dopiero ona mu powiada: »Zrób, co możesz, dla tej kobiety«. A on powiada: »Wszystko na świecie, czego zechcesz«. Niechże ją Matka Boska błogosławi, ona jagódkę złotą! niech ją na dzieciach błogosławi i na zdrowiu. I zaraz pan powiada: »Zawiniliście ciężko boście się w niemieckie ręce podali, ale, powiada, poratuję was i na Justa dam«.

Bartek począł drapać się w kark.

— Dyc pana też Niemcy mieli w rękę.

— No to co! ale pani bogata. Państwoby teraz wszystkich Niemców w Pognębynie mogli ku-



pić, to i panu wolno gadać. Wybory, powiada pan, niezadługo będą: niech ludzie patrzą, by za Niemcami nie głosowali, a ja na Justa dam i Boegego przykróczę. A pani go za to za szyję wzięna, a pan się pytał o ciebie, i powiada: jeśli słaby, to ja z doktorem pogadam, żeby mu napisał świadectwo, jako teraz nie może siedzieć. Jeśli go nie zwolnią całkiem, to, powiada, odsiedzi w zimie, a teraz do roboty na żniwa potrzebny. Słyszysz? Wczoraj pan w mieście był, a dziś doktor jedzie do Pognębina z wizytą, bo go pan zaprosił. On nie Niemiec. I świadectwo napisze. W zimie będziesz siedział w karceresie, jak ten król, będzie ci ciepło, i żreć darmo ci dadzą, a teraz pójdziesz do dom, do roboty, i Justa zapłaciewa, a pan może i nikajkiego procentu nie będzie chciał, a jak nie odamy wszystkiego w jesieni, to u pani wyproszę. Niechże ją Matka Boska!... Słyszysz?...

— Dobra pani. Niema co! — rzekł rażno Bartek.

— Padniesz-że ty jej do nóg, padniesz, a nie, to ci chyba ten żółty łeb ukreć! Byle Bóg urodzaj dał! A widzisz, skąd poratowanie? od Niemców? dały ci choć grosz za te twoje głupie mentale? co? Dały ci po łbie i tyła. Padniesz-że ty pani do nóg, mówię.

— Co nie mam paść! — odparł rezolutnie Bartek.

Los zdawał się znowu uśmiechać zwycięzcy. W kilka dni później zawiadomiono go, że z powodu zdrowia na teraz zostaje uwolniony z kozy,

aż do zimy. Przedtem jednak landrat<sup>1)</sup> kazał mu się stawić przed sobą. Bartek stawił się z duszą na ramieniu. Ten chłop, który z bagnietem w ręku brał sztandary i armaty, począł się teraz bać każdego muuduru więcej niż śmierci, począł nosić w sercu jakieś głuche, bezwiedne poczucie, że go prześladowają, że mogą zrobić z nim, co zechcą, że jest nad nim jakaś siła ogromna a nieżyczliwa i zła, która, gdyby się jej opierał, to go zetrze. Stał więc oto przed landratem, jak ongi przed Steinmetzem, wyprostowany, z brzuchem wciągniętym, piersią wydaną naprzód i bez tchu w pierśsiach. Było także i kilku oficerów: wojna i karność wojenna stanęły Bartkowi w oczach, jakby żywe. Oficerowie patrzyli na niego przez złote binokle z dumą i pogardą, należną prostemu żołnierzowi i polskiemu chłopu od pruskich oficerów; on stał, dech wstrzymując, a landrat mówił coś rozkazującym tonem. Nie prosił, nie namawiał, rozkazywał, groził. W Berlinie poseł umarł, nowe wybory rozpisano.

— *Du polnisches Vieh!*<sup>2)</sup> spróbuj tylko głoso-  
wać za panem Jarzyńskim, spróbuj!

Brwi oficerów ściągnęły się w tej chwili w groźne łwie zmarszczki. Jeden ogryzając cygaro, powtórzył za landratem: »Spróbuj!« a w zwycięskim Bartku dech zamierał. Gdy usłyszał požądane: »Poszedł precz!« zrobił pół obrotu w lewo, wyszedł i odetchnął. Dano mu rozkaz, by głosował

<sup>1)</sup> *Landrat* — naczelnik powiatu w Prusach.

<sup>2)</sup> Ty, polskie bydło! (niem.)

za panem Szulbergiem z Krzywdy Wielkiej. Nad rozkazem nie namyślał się, ale odetchnął, bo szedł oto do Pognębina, bo na żniwa mógł być w domu, bo pan obiecał spłacić Justa. Wyszedł za miasto. Ogarnęły go łany zbóż dojrzewających. Kłos ciężki z wiatrem o kłos uderzał, i szeleściły wszystkie miłym dla chłopskiego ucha szelestem. Bartek słaby był jeszcze, ale słońce go grzało. Hej! jak to na świecie pięknie! myślał sterany żołnierz. I do Pognębina już niedaleko.

---

## X.

Wybory! Wybory! Pani Marya Jarzyńska ma ich pełną główkę, nie myśli, nie mówi i nie marzy o niczem więcej.

— Pani dobrodzika to wielki polityk — mówi do niej sąsiad szlachcic, całując, jak smok, jej małe rączki; a wielki polityk rumieni się jak wiśnia i odpowiada ze ślicznym uśmiechem:

— O, my agitujemy<sup>1)</sup>, jak tylko możemy!

— Pan Józef będzie posłem! — mówi przekonująco szlachcic, a »wielki polityk« odpowiada:

— Chciałabym bardzo, chociaż nietylko o Józia chodzi, ale (tu »wielki polityk« piecze znowu niepolitycznego raka), ale to sprawa ogólna...

— Czysty Bismarck! jak Boga Kocham! — woła szlachcic i znowu całuje małe rączki, potem radzą oboje nad agitacją.

---

<sup>1)</sup> Agitować — działać namową w danej sprawie.

Szlachcic bierze na siebie Krzywdę Dolną i Mizerów (Krzywda Wielka stracona, bo dziedziecem jej pan Szulberg), a pani Marya ma zająć się przedewszystkiem Pognębinem. Aż jej się główka pali, że zajmuje taką rolę. Jakoż czasu nie traci. Codzień widać ją na wielkiej drodze między chałupami: sukienka podniesiona w jednej ręce, parasolka w drugiej, a z pod sukienki wyglądają małutkie nóżki, drepczące z zapalem w wielkich celach politycznych. Wstępuje do chałup, pracującym ludziom mówi po drodze: »Boże, dopomóż!« Odwiedza chorych, ujmuje sobie ludność, pomaga, gdzie może. Robiłaby to i bez polityki, bo ma dobre serce, ale dla polityki tembardziej. Czegoby ona nie zrobiła dla tej polityki?! Oto nie śmie tylko przyznać się mężowi, że ma niepowstrzymaną ochotę pojechać na wiec włościański; ułożyła sobie nawet w główce mowę, jaką wypadałoby na wiecu powiedzieć. Co to za mowa! co za mowa! Wprawdzie pewnoby nie śmiała jej wypowiedzieć, ale gdyby wypowiedziała, to no! Za to, gdy do Pognębina doszła wiadomość, że władze wiec rozpedziły, »wielki polityk« rozbeczał się ze złości w swoim pokoju, podarł jedną chusteczkę i cały dzień miał czerwone oczy. Napróżno mąż prosił jej, by nie »demenowała«<sup>1)</sup> się do tego stopnia. Nazajutrz agitacja w Pognębinie prowadzona była z większym jeszcze ferworem<sup>2)</sup>. Pani Marya nie cofa się teraz przed niczem. Jednego dnia jest w kilkunastu cha-

---

<sup>1)</sup> Demenować się — tracić odwagę.

<sup>2)</sup> Ferwor — zapal.



tach i wymyśla tak głośno na Niemców, że aż mąż musi ją powstrzymywać. Ale niema niebezpieczeństwa. Ludzie przyjmują ją z radością, całują po rękach i uśmiechają się do niej, bo taka jest ładna, taka różowa, że gdzie wejdzie, jasno się robi. Z kolei przychodzi i do chałupy Bartka. Łysek jej nie puszcza, ale Magda daje mu w zapale drewnem w łeb.

— O, jasnie pani! moje złoto, moje śliczności, moja jagódko! — woła Magda, tuląc się do jej rąk.

Bartek, zgodnie z postanowieniem, rzuca się jej do nóg, mały Franek całuje ją naprzód w rękę, następnie kładzie palec w usta i pogrąża się w całkowitym podziw.

— Spodziewam się — mówi po powitaniach młoda pani — spodziewam się, mój Bartku, że będziecie głosowali za moim mężem, nie za panem Szulbergiem.

— O, moja zorzol! — woła Magda — ktoby ta za Siulbergiem głosował! Niech go tam paralius! (Tu całuje panią w rękę). Niech się jasnie pani nie gniewa, ale człek, gdy o Niemcach mówi, to i języka nie może utrzymać.

— Mąż właśnie mówił mi, że zapłaci Justa.

— Niech go Bóg błogosławi! — Tu Magda zwraca się do Bartka. — Czego stoisz, jak drąg? On, proszę pani, strasznie niemowny.

— Będziecie za moim mężem głosowali? — pyta pani — prawda? Wyście Polacy, my Polacy! będziemy się trzymali.

— Łebbym mu ukręciła, żeby nie głosował! — rzecze Magda. — Czegóż stoisz, jak drąg? On strasznie niemowny. Ruszże się!

Bartek całuje znowu panią w rękę, ale milczy ciągle i jest ponury, jak noc. W myśli stoi mu landrat.

\* \* \*

Dzień wyborów zbliża się i nadchodzi. Pan Jarzyński pewny jest wygranej. Do Pogńębina zjeżdża się sąsiedztwo. Panowie wracają już z miasta, dali już głosy i czekać będą teraz w Pogńębinie na wiadomość, którą przywiezie ksiądz. Potem będzie obiad, wieczorem zaś państwo wyjadą do Poznania, a następnie i do Berlina. Niektóre wsie z okręgu wyborczego głosowały jeszcze wczoraj. Rezultat <sup>1)</sup> dziś będzie wiadomy. Zgromadzeni wszelako dobrej są myśli. Młoda pani trochę niespokojna, ale pełna nadziei i uśmiechnięta, jest tak uprzejmą gospodynią, że wszyscy zgadzają się, iż pan Józef znalazł prawdziwy skarb w Królestwie. Skarb ten nie może wprawdzie teraz usiedzieć spokojnie na miejscu, biega od gościa do gościa i każe się każdemu po sto razy zapewniać, że »Józio będzie wybrany«. Nie jest ona rzeczywiście ambitną i nie z próżności chce zostać panią posłową, ale wymarzyła sobie w swojej młodej główce, że oboje z mężem mają do spełnienia prawdziwą misję. Serce więc jej bije tak żywo, jak w chwili ślubu, i radość oświeca ładną twarzyczkę. Lawirując <sup>2)</sup> zręcznie wśród gości, zbliża się do męża, pociąga go za rękaw i szepcze mu do ucha, jak dziecko, które

<sup>1)</sup> *Rezultat* — wynik.

<sup>2)</sup> Tutaj: przesuwając się.

kogoś przezywa: »pan poseł« On uśmiecha się, i oboje są nad wszelki wyraz szczęśliwi. Oboje mają wielką ochotę wyciąć się porządnie, ale przy gościach nie wypada. Wszyscy zresztą wyglądają co chwila za okno, bo sprawa jest istotnie ważna. Dawny zmarły poseł był Polakiem, i pierwszy to raz dopiero Niemcy stawiają w tym okręgu swego kandydata. Widocznie zwycięska wojna dodała im odwagi, ale właśnie dlatego zgromadzonym w pognębińskim dworze tembardziej chodzi o to, by ich kandydat był wybrany. Nie brak też jeszcze przed obiadem patryotycznych przemówień, które szczególnie wruszają młodą panią, jako do nich nieprzywykłą. Chwilami ma ona napady obawy. A jeśli zrobią jakie malwersacye <sup>1)</sup> przy obliczaniu głosów? Ale przecie w komitecie zasiadają nietylko Niemcy! Starsi obywatele tłumaczą właśnie pani, jak się obliczanie głosów odbywa. Słyszała to ona ze sto razy, ale jeszcze chce słyszeć. Ach! bo przecie chodzi tu o to, czy ta miejscowa ludność będzie miała w parlamencie obrońcę, czy wroga? Za chwilę się to rozstrzygnie, nawet za małą chwilę, bo na drodze powstaje nagle kłęb kurzu. »Proboszcz jedzie! proboszcz jedzie!« — powtarzają obecni. Pani błędnie. Na wszystkich twarzach znać wzruszenie. Są pewni zwycięstwa, a jednak ostatnia chwila przyspiesza bicie serc. Ale to nie proboszcz, to wódarz wraca konno z miasta. Może co wie? Przywiązuje konia do kołka i śpieszy do dworu. Goście z gospodynią na czele wpadają na ganek.

<sup>1)</sup> Malwersacya — nadużycie.

Są wiadomości? Są? Nasz pan wybrany? Co? Chodź tu! Wiesz na pewno? Rezultat ogłoszony?

Pytania krzyżują się i padają jak race, a chłop rzuca czapkę do góry.

— Nasz pan wybrany!

Pani siada nagle na ławce i przyciska ręką falujące piersi.

— Wiwat! wiwat! — krzyczą sąsiedzi. — Wiwat!

Służba wypada z kuchni. — »Wiwat! Pobite Niemcy! Niech żyje poseł I pani posłowa!«

— A proboszcz? — pyta ktoś.

— Zaraz tu będzie — odpowiada wódarz — jeszcze reszty obliczają..

— Obiad dawać woła pan poseł.

— Wiwat! — powtarzają inni.

Wchodzą znów wszyscy z ganku do sali. Powinszowania panu i pani płyną już spokojniej, sama pani tylko nie umie pohamować radości i bez względu na świadków rzuca mężowi ręce na szyję. Ale nie biorą jej tego za złe; rozczulenie ogarnia wszystkich.

— No, jeszcze żyjemy! — mówi sąsiad z Mizerowa.

Tymczasem przed gankiem rozlega się turkot, i do sali wchodzi ksiądz proboszcz, a z nim stary Maciej z Pognębina.

— Witamy! witamy! — wołają zgromadzeni. — No, jaka większość?

Ksiądz milczy przez chwilę i nagle rzuca, jakby w twarz tej powszechnej radości, szorstkie i krótkie dwa wyrazy:



— Szulberg... wybrany!..

Chwila zdumienia, grad pytań przyśpieszonych i trwoźnych, na które ksiądz odpowiada znowu:

— Szulberg wybrany!

— Jak? Co się stało? Jakim sposobem? Włódarz mówił, że nie! Co się stało?

W tej chwili pan Jarzyński wyprowadza biedną panią Maryę, która gryzie chusteczkę, by nie wybuchnąć płaczem, lub nie zemdleć.

— O, nieszczęście! nieszczęście! — powtarzają.

W tej chwili od strony wsi dochodzą jakieś zmacone głosy, jakby radosnych krzyków. To Niemcy pognębińscy obchodzą tak radośnie swoje zwycięstwo.

Państwo Jarzyńscy wracają znów do sali. Słychać, jak przy drzwiach młody pan mówi do pani: »*Il faut faire bonne mine*<sup>1)</sup>. Jakoż młoda pani już nie płacze. Oczy ma suche i bardzo silne rumieńce.

— Powiedzcież teraz, jak się to stało? — pyta spokojnie gospodarz.

— Jakże się nie miało stać, jasnie panie — mówi stary Maciej — skoro i tutejsze chłopcy pognębińskie głosowali za Szulbergiem.

— Kto taki?

— Jakto? tutejsi?

— A jakże. Ja sam widziałem i wszyscy, jak Bartek Słowik głosował za Szulbergiem..

— Bartek Słowik? — mówi pani.

— A jakże. Teraz-ci go inni wymyślają. Chłop

tarza się po ziemi, płacze, baba go wymyśla. Aleć ja sam widziałem, jak głosował.

— Ze wsi takiego wyświecić! — rzecze sąsiad z Mizerowa.

— Bo jasnie panie — mówi Maciej — inni też, co byli na wojnie, to też głosowali, jak i on. Gadają, że im kazali..

— Nadużycie, czyste nadużycie, nieważny wybór, przymus, szachrajstwo! — wołały różne głosy.

Niewesoły był obiad tego dnia w pognębińskim dworze.

Wieczorem państwo wyjechali, ale już nie do Berlina, tylko do Drezna.

Nędzny, przeklinany, sponiewierany i znienawidzony Bartek siedział tymczasem w swojej chałupie, obcy nawet dla żony własnej, bo i ta nie przemówiła do niego cały dzień ni słowa.

Jesienią Bóg urodzaj dał, i pan Just, który właśnie objął był w posiadanie Bartkową kolonię, rad był, że wcale niezły zrobił interes.

Pewnego dnia szło z Pognębina do miasta troje ludzi: chłop, baba i dziecko. Chłop był pochylony bardzo, podobniejszy do dziada, niż do zdrowego człeka. Szli do miasta, bo w Pognębinie nie mogli służby znaleźć. Deszcz padał, baba szlochała okrutnie z żalu po straconej chałupie i całej wsi. Chłop milczał. Na całej drodze pusto było: ani wozu, ani człowieka; krzyż tylko wyciągał nad

<sup>1)</sup> Trzeba robić dobrą minę (franc.)

nią zmoczone od deszczu ramiona. Deszcz padał coraz większy, gęstszy, i ciemniało na świecie.

Bartek, Magda i Franek szli do miasta, bo zwycięzca z pod Gravelotte i Sedanu miał jeszcze w zimie odsiedzieć w kozie za sprawę Boegego.

Państwo Jarzyńscy bawili się w Dreźnie.



## BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH.

49. **Sienkiewicz H.** Z puszczy Białowieskiej.
50. — Niewola tatarska.
51. — Pójdźmy za Nim!
52. **Łętowski Jul.** Wawrzyńcowie.
53. **Sienkiewicz H.** Za chlebem.
54. — Z pamiętnika nauczyciela poznańskiego.
55. — Sielanka. — Legenda żeglarska.
56. **Siemieński L.** Portret króla Jana. Postowie siewierscy.
57. — Wieczór u gen. Kopcia. — Wiązanka konwalii.
58. **Sienkiewicz. H.** Orso. — Sachem..
59. **Gomulicki W.** Oracz. — Filemon i Baucis. — Nieprzespany sen pani Maciejowej
60. **Koslakiewicz W.** Sarna. — Literatura mojej żony. — Nabozęństwo majowe.
61. **Sewer.** Łusia Burlak.
62. — Wiosna.
63. — Dola.
64. **Dygasiński A.** Co się dzieje w gniazdach.
65. **Sieroszewski W.** Kulisi.
66. — W ofierze bogom.
67. — Bokser (Uang-Ming Tse).
68. **Kaczkowski Z.** Bitwa o chorążankę.
69. **Prus B.** Cienie. Z legend dawnego Egiptu. W górach.
70. **Konopnicka M.** Wojciech Zapala.
71. — W Winiarskim forcie.
72. — Urbanowa.
73. — Miłosierdzie gminy.
74. **Lanartowicz T.** Wybór poezyi.
75. **Kondratowicz L.** (Wł. Syrokomla). Wybór poezyi.
76. — Janko Cmentarnik.
77. **Hoffmanowa Klem.** Dziennik Franciszki Krasieńskiej.
78. — Listy Elżbiety Rzeczyckiej.
79. **Czarneda M.** (Bierzyński). Nieplakany.
80. — Kancelista.
81. **Kraszewski J. I.** Żywoć i przygody imci Pana Józefa z Gozda, Hrabi Gozdkiego. — Pan Starosta Kaniowski
82. — Jak się dawniej listy pisały.
83. — Psiarek.
84. **Wilczyński Ad.** Przykładna kara.
85. **Cnodzko Ign.** Samowar.
86. — Domek mojego dziadka. Śmierć mojego dziadka.
87. — Boruny.
88. **Górski K. M.** Biblioman.
89. **Lanartowicz T.** Zachwycenie.
90. **Korzeniowski J.** Karpaccy górale.
91. **Kondratowicz L.** (Wł. Syrokomla). Ulas.
92. — Kęs chleba.
93. — Jan Dęboróg.
94. — Trzęzłowe. — Spowiedź pana Korsaka.
95. — Wielki czwartek.





## BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH.

96. Asnyk Adam. Wybór poezyi.
97. Ujejski K. Wybór poezyi.
98. Pol Wincenty. Pieśń o ziemi naszej.
99. Wasilewski Edm. Wybór poezyi.
100. Zaleski J. B. Wybór poezyi.
101. Chrzanowski Ign. Za co powinniśmy kochać Pana Tadeusza.  
Wyd. 2-gie.
102. Krasicki Ign. Bajki i przypowieści. Wybór.
103. Tetmajer. K. Wybór poezyi.
104. Kasprówcz Jan. Wybór poezyi.
105. Niemcewicz J. U. Wybór poezyi.
106. Morawski-Dzierżykraj Fr. Bajki. Wybór.
107. Romanowski M. Wybór poezyi.
108. Brodziński K. Wybór poezyi.
109. Pol W. Wybór poezyi.
110. Żmichowska N. Wybór poezyi.
111. Or-Oł. Wybór poezyi.
112. Rodoł M. Satyry. Wybór.
113. Morawski Fr. Wizyta w sąsiedztwo. Listy poetyckie.
114. Zaleski B. Pieśni gęślarskie serbskie. — Czar Łazarz, czyli bój Kossowski.
115. Zieliński Gustaw. Kirgiz.
116. Pol Wincenty. Przygody młodości Imci Pana Benedykta Winnickiego I.
117. Orzeszkowa Eliza. Bracia.
118. — Światło w ruinach.
119. Kubala L. dr. Mieszczanin polski z XVII w.
120. — Oblężenie Lwowa w r. 1648.
121. — Bitwa pod Beresteczkiem.
122. — Oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem.
123. Szajnocha Karol. Wnuka króla Jana.
124. — Barbara Radziwiłłówna.
125. — Zdobycze pługa polskiego. — Brody Krzyżackie.
126. — Zwycięstwo pod Lwowem w r. 1675. Trynitarze.
127. Mickiewicz Adam. Ballady.
128. — Bajki i powiastki.
129. — Liryki.
130. Słowacki Jul. Ojciec zadżumionych. — W Szwajcaryi.
131. — Jan Bielecki. — Arab. — Mnich.
132. — Mindowe.
133. — Złota czaszka.
134. — Marya Stuart.
135. Orzeszkowa E. Daleko. — Karyery.
136. — Śmierć domu.
137. — Dobra pani.
138. — Panna Róża.
139. Rodziewicz M. Rupiecie.
140. — Kamienie. — Ciotka. — Wpisany do heroldyi.
141. Konopnicka M. Z Liryk i obrazków.
142. Niemcewicz J. U. Śpiewy historyczne.